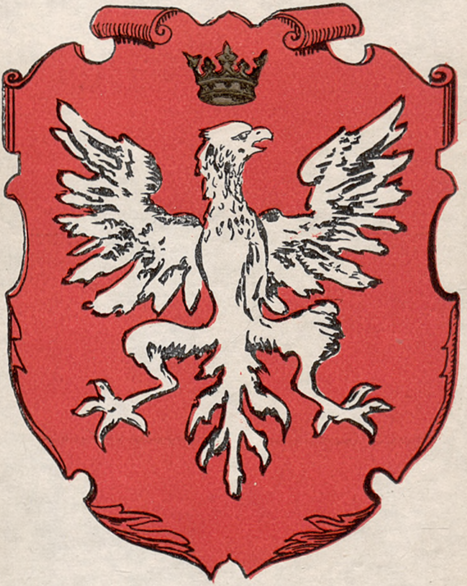
Henryk Sienkiewicz



# POTOP

XI



Szymon St. Deptuła

HENRYK SIENKIEWICZ



# POTOP

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM XI



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1936

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE



15/1936
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

## ROZDZIAŁ I.

Po rudnickich terminach poszedł król dalej w klin, między San a Wisłę, i nie przestał po staremu z tylną strażą iść, bo był nietylko znamienitym wodzeni, ale i rycerzem odwagi niezrównanej. Szli za nim pan Czarniecki, pan Witowski, pan Lubomirski, i napędzali go, jak zwierza do sieci. Luźne partje hałasowały dniem i nocą nad Szwedami. Żywności było coraz mniej, wojsko coraz bardziej znużone i na duchu upadłe, zguby pewnej oczekujące.

Zaszyli się nakoniec Szwedzi w sam kąt, gdzie się dwie rzeki .schodzą, i odetchnęli. Tu już z jednej strony broniła ich Wisła, z drugiej San, szeroko, jako zwykle wiosną, rozlany, zaś trzeci bok trójkąta umocnił król potężnemi szańcami, na które pozaciągano działa.

Nie do zdobycia to była pozycja, jeno można w niej było z głodu umrzeć. Ale i pod tym względem nabrali Szwedzi lepszej otuchy, gdyż spodziewali się, że im z Krakowa i z innych fortec nadbrzeżnych wodą komendanci spyżę przyślą. Ot, zaraz pod bokiem

był Sandomierz, w którym pułkownik Szynkler znaczne nagromadził zapasy. Toż i wnet je nadesłał, więc jedli, pili, spali, a zbudziwszy się, śpiewali luterskie psalmy na chwałę Bogu, że ich z tak ciężkiej toni ratował.

Lecz pan Czarniecki nowe gotował im ciosy.

Sandomierz w szwedzkich ręku mógł ciągle przychodzić w pomoc głównej armji, umyślił więc pan Czarniecki jednym zamachem odebrać miasto, zamek, a Szwedów wyciąć.

— Okrutne im sprawimy widowisko — mówił na radzie wojennej; — będą patrzeć z tamtego brzegu, jako na miasto uderzym, a z pomocą przez Wisłę przyjść nie potrafią; my zaś, mając Sandomierz, żywności z Krakowa od Wirtza nie puścimy.

Pan Lubomirski, pan Witowski i inni starzy wojownicy odradzali panu Czarnieckiemu ten postępek.

— Dobrzeby było — mówili — opanować tak znaczne miasto i siła moglibyśmy Szwedom tem zaszkodzić, ale jak go wziąć? Piechoty nie mamy, armat wielkich nie mamy, — trudno, by jazda na mury się darła!

Na to pan Czarniecki:

— Albo to nasi chłopi źle się na piechotę biją? Byłem takich Michałków parę tysięcy znalazł, wezmę nietylko Sandomierz, ale i Warszawę!

I nie słuchając dłużej niczyich rad, przeprawił się przez Wisłę. Ledwie po okolicy głos

poszedł, sypnęło się do niego parę tysięcy luda, kto z kosą, kto z rusznicą, kto z muszkietem, i ruszyli pod Sandomierz.

Wpadli do miasta dość niespodzianie i po ulicach wszczęła się rzeź okrutna. Szwedzi bronili się zaciekle z okien, z dachów, lecz wytrzymać nawałności nie mogli. Wygnieciono ich jak robactwo po domach i wyparto całkiem z miasta. Szynkler schronił się z resztą do zamku, lecz Polacy tymże impetem ruszyli za nim. Rozpoczął się szturm do bram i murów. Poznał Szynkler, że i w zamku się nie utrzyma.

Więc zgarnął co mógł ludzi, rzeczy, zapasów żywności, i wsadziwszy na szkuty, przeprawiał się do króla, który patrzył z drugiego brzegu na klęskę swoich, nie mogąc im iść w pomoc.

Zamek wpadł w ręce polskie.

Lecz chytry Szwed, uchodząc, podsadził pod mury, po piwnicach, beczki z prochem i z zapalonemi lontami.

Zaraz, stanąwszy przed obliczem króla, powiedział mu tę wiadomość, aby mu serce rozweselić.

— Zamek w powietrze wyleci ze wszystkimi ludźmi — rzekł. — Może i sam Czarniecki zginie.

— Jeśli tak, to i ja chcę widzieć, jako pobożni Polacy do nieba lecieć będą — odrzekł król.

I pozostał ze wszystkimi jenerałami na miejscu.

Tymczasem, mimo zakazów Czarnieckiego, który zdradę przewidywał, wolentarze i chłopi rozbiegli się po całym zamku dla szukania ukrytych Szwedów i dla rabunku. Trąby grały larum, by, kto żyw, chronił się do miasta, lecz oni nie słyszeli tych głosów, lub nie chcieli na nie zważać.

Nagle zatrzęsła się im ziemia pod nogami, grzmot straszny i huk targnęły powietrzem, olbrzymi słup ognia strzelił do góry, wyrzucając w powietrze ziemię, mury, dachy, cały zamek i przeszło pięćset ciał tych, którzy się cofnąć nie zdołali.

Karol Gustaw w boki się wziął z radości, a usłużni dworacy wnet zaczęli powtarzać jego słowa:

— Do nieba idą Polacy! do nieba! do nieba!

Lecz przedwczesna to była radość, bo niemniej Sandomierz został w ręku polskich i nie mógł już zaopatrywać w żywność głównej armji, zamkniętej w kącie rzecznym.

Pan Czarniecki rozbił obóz naprzeciw Szwedów, po drugiej stronie Wisły, i pilnował przeprawy.

Pan Sapieha zaś, hetman wielki litewski i wojewoda wileński, nadciągnął z Litwinami z drugiej strony i położył się za Sanem.

Obsaczono tedy Szwedów zupełnie; chwycono ich, jakoby w kleszcze.

— Potrzask[1] zapadł! — mówili między sobą żołnierze w polskich obozach.

Każdy bowiem, najmniej nawet ze sztuką wojenną obznajomiony, rozumiał, że zguba wisi nad najezdnikami nieuchronna, cliybaby nadeszły na czas posiłki i wyrwały ich z toni.

Rozumieli to i Szwedzi; co rano oficerowie i żołnierze, przychodząc nad brzeg Wisły, spoglądali z rozpaczą w oczach i w sercu na czerniejące po drugiej stronie zastępy groźnej jazdy Czarnieckiego.

Następnie szli nad San, — tam znów wojska pana Sapiehy czuwały dzień i noc, gotowe przyjąć ich szablą i muszkietem.

O przeprawie, bądź przez San, bądź przez Wisłę, póki oba wojska stały w pobliżu, nie było co i myśleć. Mogliby chyba Szwedzi wracać do Jarosławia tąż samą drogą, którą przyszli, ale to wiedzieli, że w takim razie ani jeden z nich nie zobaczyłby już Szwecji.

Poczęły więc im płynąć ciężkie dnie, — cięższe jeszcze, bo swarliwe i pełne hałasów, noce... Żywność znowu się kończyła...

Tymczasem pan Czarniecki, zostawiwszy komendę nad wojskiem panu Lubomirskiemu i wziąwszy laudańską chorągiew dla asysty, przeprawił się przez Wisłę, powyżej ujścia

---

[1] klatka, służąca jako pułapka na ptaki.

Sanu, ażeby się z panem Sapiehą zobaczyć i o dalszej wojnie z nim naradzić.

Tym razem nie potrzeba było pośrednictwa Zagłoby, aby dwóch wodzów do siebie dopasować, obaj bowiem miłowali ojczyznę więcej, niż każden siebie samego, obaj byli gotowi dla niej poświęcić prywatę, miłość własną i ambicję.

Hetman litewski nie zazdrościł Czarnieckiemu, Czarniecki również hetmanowi, owszem, obaj się wielbili wzajemnie, to też spotkanie między nimi było takie, że aż najstarszym żołnierzom łzy stanęły w oczach.

— Rośnie Rzeczpospolita, raduje się miła ojczyzna, gdy tacy jej synowie w ramiona się biorą — mówił do Wołodyjowskiego i do Skrzetuskich Zagłoba. —■ Czarniecki straszny wojennik i szczera dusza, ale i Sapja do rany przyłóż, to się zgoi. Bodaj się tacy na kamieniu rodzili. Oto skóraby na Szwedach spierzchła, żeby owe afekty największych ludzi widzieć mogli. Czemże to oni nas bowiem zawojowali, jeżeli nie niezgodą a zawiścią panów. Zali siłą nas zmogli, co? Ot, to rozumiem! Dusza w człeku skacze na widok takiego spotkania. Ręczę też wam i za to, że nie będzie suche, bo Sapja okrutnie uczty lubi, a już z takim konfidentem chętnie sobie cuglów popuści.

— Bóg łaskaw! złe mija! Bóg łaskaw! — mówił Jan Skrzetuski.

— Obacz, abyś nie bluźnił! — odrzekł mu na to Zagłoba; — każde złe musi minąć, bo gdyby wiecznie trwało, to byłby dowód, że djabeł rządzi światem, nie zaś Pan Jezus, któren miłosierdzie ma nieprzebrane.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Babinicza, którego wyniosłą postać ujrzeli zdała ponad falą głów innych. Pan Wołodyjowski i Zagłoba poczęli zaraz kiwać na niego, lecz on tak zapatrzony był w pana Czarnieckiego, że ich zrazu nie zauważył.

— Patrzcie, — rzekł Zagłoba, — jako się chłop zmizerował!

— Nie rnusiał wiele wskórać przeciw księciu Bogusławowi, — odpowiedział Wołodyjowski, — inaczej byłby weselszy.

— I pewno, że nie wskórał. Wiadomo, że Bogusław pod Malborkiem, razem ze Steinbokiem, przeciw fortecy czyni.

— W Bogu nadzieja, że nic nie sprawią!

Na to pan Zagłoba:

— Choćby też i Malbork wzięli, my tymczasem Carolum Gustavum captivabimus, — obaczym, czy fortecy za króla nie oddadzą?

— Patrzcie! Babinicz idzie już do nas! — przerwał .Skrzetuski.

On zaś istotnie, dostrzegłszy ich, począł odsuwać tłum na obie strony i dążyć ku nim, kiwając im czapką i uśmiechając się zdaleka. Przywitali się jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

— Co słychać? Cóżeś panie kawalerze uczynił z księciem? — pytał Zagłoba.

— Źle słychać, źle! Ale nie pora o tern powiadać. Teraz do stołów zasiądziemy. Waszmościowie zostaniecie tu na noc; chodźcież do mnie po uczcie na nocleg, między moich Tatarów. Szałas mam wygodny, to sobie przy kielichach pogawędzim do rana.

—-Jak tylko ktoś mądrze mówi, ja się nie przeciwię! — odparł Zagłoba. — Powiedz nam jeno, od czegoś tak wymizerniał?

— Bo mnie w bitwie razem z koniem obalił i rozbił ten piekielnik, jako gliniany garnek, że jeno od tej pory żywą krwią pluwam i przyjść do siebie nie mogę. W miłosierdziu Pana naszego Chrystusa nadzieja, że jeszcze krew z niego wytoczę. Ale teraz chodźmy, bo już pan Sapieha z panem Czarnieckim poczynają sobie świadczyć i o pierwszy krok się ceremonjować. Znak to, że stoły gotowe. Z wielkiem sercem tu na was czekamy, boście też juchy szwedzkiej dość rozleli.

— Niech inni mówią, jakem dokazywał! — rzekł Zagłoba — mnie nie wypada!

Wtem całe tłumy ruszyły się i poszli wszyscy na majdan między namioty, na którym zastawione były stoły. Pan Sapieha wystąpił na cześć pana Czarnieckiego, jak król. Stół, przy którym posadzono kasztelana, był szwedzkiemi chorągwiami nakryty. Miody

i wina lały się ze stągiew [1], aż obaj wodzowie podchmielili sobie nieco pod koniec. Nie brakło wesołości, żartów, wiwatów, gwaru — aż, lubo pogoda była cudna i słońce nad podziw dogrzewało, chłód wieczorny spędził wreszcie ucztujących.

Wówczas Kmicic zabrał swoich gości między Tatarów. Siedli tedy w jego namiocie na łubach, obficie wszelkiego rodzaju zdobyczą wypchanych, i gwarzyć poczęli o Kmicicowej wyprawie.

— Bogusław teraz jest pod Malborkiem, — mówił pan Andrzej, —- a inni powiadają, że jest u elektora, z którym razem na odsiecz królowi ma ciągnąć.

— To lepiej! to się spotkamy! Wy młodzi nie umiecie sobie z nim poradzić, — obaczym, jak sobie stary da rady! Z różnymi się spotykał, ale z Zagłobą jeszcze nie. Powiadam, że się spotkamy, chyba mu książę Janusz w testamencie zalecił, żeby Zagłobę zdaleka omijał. Może to być!

— Elektor chytry człek, — rzekł J an Skrzetuski, — i niech tylko ujrzy, że z Carolusem źle, wnet będzie wszystkie obietnice i przysięgi relaksował [2].

— A ja wam mówię, że nie — rzekł Zagłoba. — Nikt nie jest bardziej na nas zawzięty, jako Prusak. Gdy twój sługa, który

---

[1] beczek. [2] tu: unieważniał,

cię pod nogi rnusiał podejmować i szaty twoje czyścić, panem twoim przy odmianie fortuny zostanie, to właśnie tern będzie sroższy, im byłeś mu panem łaskawszym.

— To zaś czemu? — pytał Wołodyjowski.

— Bo mu jego służebna kondycja w pamięci zostanie, i mścić się będzie za nią na tobie, choćbyś mu same dobrodziejstwa świadczył.

— Mniejsza z tem! — rzekł Wołodyjowski. — Nieraz się też zdarza, że i pies pana w rękę ukąsi. Niech nam Babinicz lepiej o swej wyprawie powiada.

— Słuchamy! — rzekł Skrzetuski.

Kmicic, pomilczawszy chwilę, nabrał tchu i począł rozpowiadać o ostatniej wojnie sapieżyńskiej z Bogusławem, o klęsce tego ostatniego pod Janowem, nakoniec o tem, jak książę Bogusław, rozbiwszy w puch Tatarów, jego samego wraz z koniem na ziemię obalił i z życiem uszedł.

— A powiadałeś waszmość, — przerwał Wołodyjowski, — że go będziesz ze swymi Tatarami choćby do Bałtyku ścigał...

Na to Kmicic:

— A waszmość mi powiadałeś także w swoim czasie, jako tu obecny pan Skrzetuski, gdy mu Bohun umiłowaną dziewkę porwał, przecie i jej, i zemsty zaniechał, dlatego, że ojczyzna była w potrzebie. Z kim kto przestaje,

takim się staje, jam zaś z waszmościami się zadał i śladem ich iść pragnę.

— Bodaj ci tak Matka Boska nagrodziła, jak Skrzetuskiemu! — odrzekł Zagłoba. — Wszelako wołałbym, żeby twoja dziewka była teraz w puszczy, niż w Bogusławowych ręku.

— Nic to! — zakrzyknął pan Wołodyjowski — odzyszczesz ją!

— Mam ja do odzyskania nietylko jej personę, ale jej estymę i afekt.

— Jedno przyjdzie za drugiem, — rzekł pan Michał, — choćbyś osobę miał i gwałtem brać, jako to wówczas... pamiętasz?

— Tego nie uczynię więcej!

Tu począł pan Andrzej wzdychać ciężko, a po chwili rzekł:

— Nietylkom tamtej nie odzyskał, ale jeszcze i drugą Bogusław mi porwał.

—- Czysty Turek! jak mi Bóg miły! — zakrzyknął Zagłoba.

A pan Michał począł wypytywać:

— Jaką drugą?

— At! siła powiadać — odrzekł Kmicic. — Była jedna dziewka, okrutnie gładka, w Zamościu, która się panu staroście kałuskiemu haniebnie podobała. Ów, że siostry, księżnej Wiśniowieckiej, się boi, nie śmiał przy niej zbyt nacierać, umyślił tedy dziewkę wysłać ze mną, niby do pana Sapiehy, po spadek na Litwie, w rzeczy zaś dlatego, by mi ją o pół

mili za Zamościem odjąć i w jakiej pustce osadzić, w którejby nikt zapałom jego nie mógł przeszkadzać. Alem ja zwietrzył tę intencję. „Chcesz ty ze mnie (pomyślałem) rajfura swego uczynić? — czekaj!“ I ludzi mu wybatożyłem, a pannę w całej panieńskiej cnocie do pana Sapiehy odwiozłem. Mówię waćpaństwu, dziewka krasna jako szczygieł, ale zacna... Ja też już inny człek, a moi kompanjonowie! — Panie, świeć nad ich duszą! — dawno już popróchnieli w ziemi!

—■ Cóż to była za dziewka? — spytał Zagłoba.

— Z zacnego domu, respektowa księżnej pani Wiśniowieckiej. Niegdyś była zmówiona z Litwinem Podbipiętą, któregoście waćpanowie znali...

— Anusia Borzobohata!!! — wrzasnął, zrywając się z miejsca, Wołodyjowski.

Zagłoba zerwał się także z kupy wojłoków.

— Panie Michale, pohamuj się!

Lecz pan Wołodyjowski skoczył, jak kot, ku Kmicicowi.

— Tyżeś, zdrajco, dał ją porwać Bogusławowi? !

— Nie krzywdź mnie! — rzekł Kmicic. — Odwiozłem ją szczęśliwie do hetmana, staranie o niej takowe, jak o siostrze, mając, a Bogusław porwał ją nie mnie, ale innemu oficerowi, z którym pan Sapieha do swojej ro-

dżiny ją odesłał, który zwał się Głowbicz, czy jak, — dobrze nie pamiętam.

— Gdzie on jest?!

— Niemasz go tu, bo poległ. Tak przynajmniej oficerowie sapieżyńscy powiadali. Ja osobno z Tatary Bogusława podchodziłem, więc dobrze nic nie wiem. Ale miarkując z twojej alteracji, widzę, że jednaki nas termin spotkał, jeden człek nas pokrzywdził, a skoro tak jest, to się przeciw niemu połączmy, by wspólnie krzywdy i zemsty dochodzić. Wielki on pan i wielki rycerz, a przecie myślę, że ciasno mu będzie w całej Rzeczypospolitej, gdy takich dwóch będzie miał wrogów.

— Masz moją rękę! — odrzekł Wołodyjowski. — Już my odtąd druhy na śmierć i życie! Któren go pierwszy znajdzie, ten mu za dwóch zapłaci. Dałby Bóg mnie pierwszemu, bo że jego krew wytoczę, to jak amen w pacierzu !

Tu pan Michał począł tak okrutnie wąsikami ruszać i po szabli się macać, że pana Zagłobę aż strach wziął, wiedział bowiem, że z panem Michałem niema żartów.

— Nie chciałbym ja być teraz księciem Bogusławem, — rzekł po chwili, — choćby mi kto całe Inflanty do tytułu dodał. Dość jednego takiego żbika, jak Kmicic, mieć na sobie, a cóż dopiero pana Michała! Ba! mało tego, bo i ja z wami foedus [1] zawieram. Moja

[1] przymierze.

głowa, wasze szable! Nie wiem, czyli jest potentat w chrześcijaństwie, któryby przed taką potęgą nie zadrżał. Do tego i Pan Bóg, prędzej, później, umknie mu fortuny, bo nie może być, aby na zdrajcę i heretyka kary nie było... Kmicic już mu i tak nieźle sadła za skórę nalał.

— Nie neguję, że spotkała go ode mnie niejedna konfuzja — odrzekł pan Andrzej.

I kazawszy nalać kielichy, opowiedział jako Sorokę z więzów uwolnił. Zamilczał tylko o tem, że pierwej się do nóg Radziwiłłowi rzucił, bo na samo wspomnienie tej chwili krew go zalewała.

Pan Michał rozweselił się, słuchając opowiadania, a wkońcu rzekł:

— Niech ci Bóg sekunduje, Jędrek! Z takim rezolutem możnaby i do piekła iść! To tylko bieda, że niezawsze będziem mogli razem chodzić, bo służba służbą. Mnie mogą wysłać w jedną stronę Rzeczypospolitej, ciebie w drugą. Niewiadomo, który na niego pierwszy trafi.

Kmicic pomilczał chwilę.

— Po sprawiedliwości, ja powinienbym go dostać... Jeśli znów tylko z konfuzją nie wyjdę, bo... wstyd przyznać się, ale ja na rękę temu piekielnikowi zdzierżyć nie mogę...

— To ja cię wszystkich moich arkanów wyuczę! — zawołał Wołodyjowski.

— Albo ja! — rzekł Zagłoba.

— Nie! Wybaczaj waszmość, wolę u Michała się uczyć! —• odparł Kmicic.

— Choć on taki rycerz, a przecież się go z panią Kowalską nie boję, byłem był wyspani — wtrącił Roch.

—■ Cicho, Rochu! — odpowiedział Zagłoba, — żeby cię Bóg przez jego ręce za chełpliwość nie pokarał.

— 0 wa! Nie będzie mi nic!

Biedny pan Roch nie był szczęśliwym prorokiem, lecz mu się okrutnie w tej chwili z czupryny kurzyło i gotów był cały świat wyzwać na rękę. Inni też pili mocno, sobie na zdrowie, Bogusławowi i Szwedom na pohybel.

— Słyszałem, — rzekł Kmicic, — iż gdy tylko Szwedów tu zetrzem i króla dostaniem, zaraz pod Warszawę pociągniemy. Potem pewnie będzie i wojnie koniec. Potem zasię przyjdzie na elektora kolej.

— O to! to! to! — rzekł Zagłoba.

— Słyszałem, jak sam pan Sapieha to kiedyś powiadał, a on, jako człek wielki, lepiej kalkuluje. Powiada tedy do nas: „Ze Szwedem będzie fryszt! z Septentrjonami już jest, ale z elektorem nie powinniśmy się w żadne układy bawić. Pan Czarniecki (powiada) z Lubomirskim pójdą do Brandenburgji, a ja z panem podskarbim litewskim do Prus elektorskich, a jeżeli potem (mówi) nie przyłączymy Prus na wieki do Rzeczypospolitej, to

chyba w kancelarji niema ani jednej takiej głowy, jak pan Zagłoba, który na własną rękę listami elektorowi groził“.

— Także Sapjo powiadał? — spytał Zagłoba, czerwieniejąc z zadowolenia.

— Wszyscy to słyszeli, a jam był okrutnie rad, bo ta sama rózga Bogusława wysiecze, i jeśli nie prędzej, to wówczas na pewno go dosięgniem.

—■ Byle z tymi Szwedami prędzej skończyć! — rzeki Zagłoba. — Jechał ich sęk! Niech ustąpią Inflanty i miljony pozwolą, darujem ich zdrowiem.

—■ Złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! — odparł, śmiejąc się, Jan Skrzetuski. — Jeszcze Carolus w Polsce, jeszcze Kraków, Warszawa, Poznań i wszystkie znamienitsze miasta w jego ręku, a ojciec już chcesz, żeby się okupował. Ej, siła się jeszcze przyjdzie napracować, nim o elektorze pomyślimy !

—- A jest armja Steinboka, a prezydja, a Wirtz! — wtrącił Stanisław.

— To czemu tu siedzim z założonemi rękami? — spytał nagle Roch, wytrzeszczając oczy, — nie możem to Szwedów bić?

— Głupiś Rochu! — rzekł Zagłoba.

— Wuj zawsze jedno, a ja, jakom żyw, widziałem czółna nad brzegiem. Możnaby pojechać i choć straż porwać. Ciemno, choć w pysk bij; nim się opatrzą, to i wrócim, a fantazję

kawalerską obu wodzom pokazem. Jak waszmościowie nie chcecie, to sam pójdę!

— Ruszyło martwe cielę ogonem, dziw nad dziwy! — rzekł z gniewem Zagłoba.

Lecz Kmicicowi poczęły zaraz nozdrza latać.

— Niezła myśl! niezła myśl! — rzekł.

— Niezła dla czeladzi, ale nie dla tego, kto powagę kocha. Ludzie, nriejcie respekt dla siebie samych! Toż pułkownikami jesteście, a chcecie w drapichróstów się bawić.

— Pewnie, że niebardzo wypada! — rzekł Wołodyjowski. — Lepiej spać pójdziemy, bo późno.

Wszyscy zgodzili się na tę myśl, więc zaraz klękli do pacierzy i poczęli je w głos odmawiać; poczem pokładli się na wojłokach, i wnet usnęli snem sprawiedliwych.

Lecz w godzinę później zerwali się wszyscy na równe nogi, gdyż huk wystrzałów rozległ się za rzeką, zaczem gwar, krzyki, powstały w całym sapieżyńskim obozie.

— Jezus Marja! — rzekł Zagłoba. — Szwedzi następują!

— Co waść gadasz? ! — odpowiedział, chwytając szablę, Wołodyjowski.

— Rochu, bywaj! — wołał Zagłoba, który w nagłych razach lubił mieć siostrzana przy sobie.

Lecz Rocha nie było w namiocie.

Wybiegli więc na majdan. Tłumy już były przed namiotami i wszyscy dążyli nad rzekę;

po drugiej bowiem stronie widać było błyskawice ognia i huk rozlegał się coraz większy.

— Co się stało? co się stało? — pytano straży, porozstawianych licznie nad brzegiem.

Lecz straże nic nie widziały. Jeden z żołnierzy opowiadał, iż słyszał coś, jakby plusk fali, lecz że mgła wisiała nad wodą, więc nie mógł nic dostrzec, nie chciał zaś za byle odgłosem alarmować obozu.

Zagłoba, wysłuchawszy relacji, chwycił się za głowę z desperacji.

•— Roch pojechał do Szwedów! Mówił, że straż chce porwać!

— Dla Boga! — może to być! — zawołał Kmicic.

—■ Ustrzelą mi chłopa, jak Bóg na niebie! — desperował dalej Zagłoba. — Mości panowie, czy niema żadnego ratunku? Panie Jezu! chłop jak złoto najszczersze! Niemasz takiego drugiego w obu wojskach! Co mu do głupiego łba strzeliło?!... Matko Boża, ratujże go w tej toni!...

— Może przypłynie, mgła sroga! Nie obaczą go!

— Będę tu czekał choćby do rana. Matko Boża! Matko Boża!

Tymczasem strzały po przeciwnym brzegu poczęły się uspokajać, światła gasły stopniowo i po godzinie zapanowało głuche milczenie.

Zagłoba chodził nad brzegiem rzeki, jako kura, która kaczęta wodzi, i wyrywał sobie resztki włosów z czupryny, lecz próżno czekał, próżno desperował. Ranek ubielił rzekę, wreszcie słońce zeszło, a Roch nie wracał.

## ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz, skoro dzień, pan Zagłoba, ciągle w desperacji trwając, udał się do pana Czarnieckiego z prośbą, aby posłał do Szwedów obaczyć, co się z Rochem przygodziło: żyw-li, czy w niewoli jęczy, czy też gardłem za swą śmiałość zapłacił?

Czarniecki zgodził się na to bez żadnej trudności, gdyż pana Zagłobę miłował. Pocieszając go tedy w utrapieniu, tak mówił:

— Myślę, że siostrzan waści żyw być musi, bo inaczej wodaby go wyniosła.

— Dałby Bóg! — odrzekł z żalem Zagłoba, — wszelako takiego niełacno woda wyniesie, bo nietylko rękę miał ciężką, ale dowcip jakoby z ołowiu, co się i z jego uczynku pokazuje.

Na to Czarniecki:

— Słusznie waść mówisz! Jeśli żyw, powinienbym go kazać koniem po majdanie włóczyć za pominięcie dyscypliny. Wolno alarmować szwedzkie wojska, ale on oba zaalarmował, a i Szwedów bez komendy i mojego

rozkazania nie wolno. Cóż to?! pospolite ruszenie, czy kiej djabeł, żeby każden na własną rękę miał się rządzić!

— Zawinił, assentior. Sam go ukarzę, niecił-by go jeno Pan Bóg powrócił!

— Ja zaś przebaczę, przez pamięć na rudnickie terminy. Siła mamy jeńców do wymiany, i znaczniejszych oficyjerów od Kowalskiego. Jedźże waść do Szwedów i pogadaj o wymianie. Dam dwóch i trzech w razie potrzeby, bo nie chcę waści serca krwawić. Przyjdź do mnie po pismo do króla jegomości i jedz żywo!

Zagłoba skoczył uradowany do namiotu Kmicica i opowiedział towarzyszom, co zaszło. Pan Andrzej i Wołodyjowski zakrzyknęli zaraz, że chcą z nim jechać, bo obaj ciekawi byli Szwedów, Kmicic zaś mógł być prócz tego wielce pożyteczny dlatego, iż po niemiecku tak prawie płynnie, jak po polsku, mógł mówić.

Przygotowania nie zabrały im wiele czasu. Pan Czarniecki, nie czekając na powrót Zagłoby, przysłał sam przez pacholika pismo, zaczem wzięli trębacza, siedli w łódź z białą płachtą, osadzoną na drągu, i ruszyli.

Z początku jechali w milczeniu, słychać było tylko chrobotanie wioseł o boki łodzi, wreszcie Zagłoba począł się nieco niepokoić i rzekł:

—• Niech jeno trębacz prędko nas oznaj-

muje, bo szelmy, mimo białej płachty, gotowi strzelać!

— Co waćpan prawisz! — odpowiedział Wołodyjowski — nawet barbarzyńcy posłów szanują, a to polityczny naród[1]!

— Niech trębacz trąbi, mówię! Pierwszy lepszy żołdak da ognia, przedziurawi łódź, i pojedziem w wodę, a woda zimna! Nie clicę przez ich politykę namoknąć!

— Ot, widać straże! — rzekł Kmicic.

Trębacz począł oznajmiać. Łódź pomknęła szybko; na drugim brzegu uczynił się zaraz ruch większy i wkrótce nadjechał konno oficer, przybrany w żółty skórzany kapelusz. Ten, zbliżywszy się do samej wody, przysłonił oczy ręką i począł patrzeć pod blask.

0 kilkanaście kroków od brzegu, Kmicic zdjął czapkę na powitanie, oficer skłonił im się z równą grzecznością.

— Pismo od pana Czarnieckiego do najjaśniejszego króla szwedzkiego! — zawołał pan Andrzej, ukazując list.

Tymczasem łódź przybiła.

Warta, stojąca na brzegu, sprezentowała broń. Pan Zagłoba uspokoił się zupełnie, wnet przybrał oblicze w powagę odpowiednią godności posła i rzekł po łacinie:

— Zeszłej nocy kawaler pewien został pochwycon na tym brzegu, przyjechałem upomnieć się o niego.

— Nie umiem po łacinie — odrzekł oficer.

— Grubjan! — mruknął Zagłoba.

Oficer zwrócił się do pana Andrzeja.

— Król jest w drugim końcu obozu — rzekł. — Zechciejcie ichmość panowie zatrzymać się tu, a ja pojadę oznajmić.

I zawrócił konia.

Oni zaś poczęli się rozglądać. Obóz był bardzo obszerny, obejmował bowiem cały trójkąt, utworzony przez San i Wisłę. U wierzchołka trójkąta leżał Pniew; u podstawy Tarnobrzeg z jednej strony, Rozwadów z drugiej. Oczywiście, całej rozległości niepodobna było wzrokiem ogarnąć; jednak, jak okiem sięgnął, widać było szańce, okopy, roboty ziemne i faszynowe, na nich działa i ludzi. W samym środku okolicy, w Gorzycach, była kwatera królewska, tam też stały główne siły armji.

— Jeśli głód ich stąd nie wypędzi, nie damy im rady — rzekł Kmicic. — Cała ta okolica ufortyfikowana. Jest gdzie i konie popaść.

— Ale ryb dla tych gęb nie starczy, — odrzekł Zagłoba, — zresztą lutrzy nie lubią postnego jadła. Niedawno mieli całą Polskę, teraz mają ten klin; niechże siedzą zdrowi, albo znów do Jarosławia wracają.

— Okrutnie biegli ludzie sypali te szańczyki — rzekł Wołodyjowski, spoglądając okiem znawcy na roboty. — Rębaczów u nas jest więcej, ale uczonych oficyjerów mniej,

i w sztuce wojennej zostaliśmy wtyle za innymi.

— A to czemu? — spytał Zagłoba.

— Czemu? Jako żołnierzowi, który w jeździe całe życie służył, mówić mi tego nie wypada, — ale owóż temu, że wszędy piechota a armaty grunt, dopieroż one pochody, a obroty wojenne, a marsze, a kontrmarsze i. Siła książek w cudzoziemskiem wojsku człek musi zjeść, siła rzymskich autorów przewertować[2], nim oficerem znaczniejszym zostanie, — u nas zaś nic to. Po staremu jazda w dym kupą chodzi i szablami goli, a jak zrazu nie wygoli, to ją wygolą...

— Gadaj zdrów, panie Michale! — a któraż nacja tyle znamienitych wiktoryj odniosła ?

— Bo i inni dawniej tak samo wojowali, nie mając zaś tego impetu, musieli przegrywać; ale raz zmądrzeli — i patrz waćpan, co się dzieje.

— Poczekamy końca. Postaw mi tymczasem najmądrzejszego inżyniera Szweda, czy Niemca, ja przeciw niemu Rocha postawię, który ksiąg nie wertował, i obaczym.

— Byłeś go waćpan mógł postawić... — wtrącił pan Kmicic.

— Prawda, prawda! Okrutnie mi chłopa

---

[1] pochody wojska w kierunku odwrotnym w stosunku do poprzedniego marszu. [2] tu: przeczytać, przestudjować.

żal. Panie Andrzeju, a poszwargocz-no owym psim językiem do tych pludraków i rozpytaj, co się z nim stało?

— To waść nie znasz regularnych żołnierzy. Tu ci nikt bez rozkazu gęby nie otworzy. Szkoda gadać!

— Wiem, że szelmy nieużyte. Jak tak do naszej szlachty, a zwłaszcza do pospolitaków, poseł przyjedzie, to zaraz gadu gadu, o zdrowie jejmości i dziatek się spytają, i gorzałki się z nim napiją — iw konsyderacje [1] polityczne poczną się wdawać, — a ci oto stoją jako słupy i tylko ślepie na nas wybałuszają. Żeby ich sparło [2] w ostatku!

Jakoż coraz więcej pieszych żołnierzy gromadziło się wokół posłanników, przypatrując im się ciekawie. Oni też, ile że przybrani starannie w przystojne, a nawet bogate szaty, wspaniałą czynili postać. Najwięcej zwracał oczu pan Zagłoba, gdyż prawie senatorską nosił w sobie powagę, najmniej pan Michał, z przyczyny swego wzrostu.

Tymczasem oficer, który pierwszy przyjmował ich na brzegu, wrócił wraz z drugim, znaczniejszym, i z żołnierzami prowadzącymi luźne konie. Ów znaczniejszy skłonił się wysłannikom i rzekł po polsku:

— Jego królewska mość prosi waszmościów panów do swej kwatery, a że to niezbyt blisko, więc przywiedliśmy konie.

---

[1] rozważania, [2] żeby ich kolki (boleści) sparły!

— Waszmość Polak? — pytał Zagłoba.

— Nie, panie. Jestem Sadowski, Czech w służbie szwedzkiej.

Kmicic zbliżył się nagle ku niemu.

— Nie poznajesz mnie waszmość pan?

Sadowski popatrzył bystro w jego oblicze.

— Jakże? pod Częstochową! Waść to największą armatę burzącą wysadził i Müller oddał waszmości Kuklinowskiemu. Witam, witam serdecznie tak znamienitego rycerza!

— A co się z Kuklinowskim dzieje? — pytał dalej Kmicic.

— To waść nie wiesz?

— Wiem, żem mu odpłacił tem samem, czem on mnie chciał ugościć, alem go zostawił żywego.

■— Zmarzł.

— Tak i myślałem, że zmarznie —■ *rzeki*, machnąwszy ręką, pan Andrzej.

— Mości pułkowniku! — wtrącił Zagłoba-— a niejakiego Rocha Kowalskiego niemasz tu w obozie?

Sadowski rozśmiał się:

— Jakże? Jest!

— Chwała Bogu i Najświętszej Pannie! Żyw chłop, to go i wydostanę. Chwała Bogu!

— Nie wiem, czyli król zechce go oddać — odrzekł Sadowski.

— O! a czemu to?

—■ Bo go sobie wielce upodobał. Poznał go zaraz, że to ten sam jest, który na niego

w rudnickiej sprawie tak nastawa!. Za boki braliśmy się, słuchając odpowiedzi jeńca. Pyta król: „Coś sobie do mnie upatrzył?“ a ów rzecze: „Ślubowałem!“ Więc król znów: „To i dalej będziesz następował?“ „A jakże!“ — powiada szlachcic. Król począł się śmiać: „Wyrzecz się ślubu, daruję cię zdrowiem i wolnością“. „Nie może być!“ „Czemu?“ „Boby mnie wuj za kpa ogłosił!“ „A takżeś ufny, żebyś na pojedynku dał mi rady?“ „Jabym i pięciu takim dał rady!“ Więc król jeszcze: „I śmiesz na majestat rękę podnosić?“ Ów zaś: „Bo wiara paskudna!“ Tłumaczyliśmy królowi każde słowo, a on coraz był weselszy i coraz to powtarzał: „Udał mi się ten towarzysz!“ Dopieroż chcąc wiedzieć, czy go naprawdę taki osiłek gonił, kazał wybrać dwunastu co najtęższych chłopów między gwardją i kolejno im się z jeńcem pasować. Ale to żyłowaty jakiś kawaler! W chwili, gdym odjeżdżał, dziesięciu już rozciągnął jednego po drugim, a żaden nie mógł wstać o swej mocy. Przyjedziemy właśnie na koniec tej uciechy.

— Poznaję Rocha! Moja krew! — zawołał Zagłoba. — Damy za niego choćby trzech znacznych oficerów!

— Pod dobry humor królowi traficie, — odrzekł Sadowski, — co teraz rzadko się zdarza.

=— A wierzę! — odpowiedział mały rycerz.

Tymczasem Sadowski zwrócił się do Kmicica i począł wypytywać go, jakim sposobem nietylko się z rąk Kuklinowskiego uwolnił, ale jego samego pogrążył. Ów zaczął opowiadać obszernie, bo chełpić się lubił, Sadowski zaś, słuchając, za głowę się chwytał ze zdumienia, wreszcie uścisnął jeszcze raz Kmicicową rękę i rzekł:

— Wierzaj mi waszmość pan, że z duszy rad jestem, bo choć Szwedom służę, ale każde szczere żołnierskie serce raduje się, gdy prawy kawaler szelmę pogrąży. Trzeba wam przyznać, że jak się między wami rezolut trafi, to ze świecą takiego in universo szukać!

— Polityczny z waszmości pana oficer! — rzekł pan Zagłoba.

— I znamienity żołnierz, wiemy to! — dorzucił Wołodyjowski.

— Bom się i polityki i żołnierki od was uczył! — odpowiedział Sadowski, przykładając rękę do kapelusza.

Tak oni ze sobą rozmawiali, przesadzając się wzajemnie w grzecznościach, aż dojechali do Gorzyc, gdzie była kwatera królewska. Wieś cała zajęta była przez żołnierstwo różnej broni. Towarzysze nasi z ciekawością przyglądali się kupom żołnierzy, rozrzuconym między opłotkami. Jedni, chcąc nieco głód zaspać, spali po przyzbach, bo dzień był bardzo pogodny i ciepły; drudzy grali w kości na bębnach, popijając piwo, niektórzy rozwie-

szali odzież na płotach; inni, siedząc przed chałupami i pośpiewując skandynawskie pieśni, szorowali ceglanym proszkiem hełmy i pancerze, od których blask szedł okrutny. Gdzieniegdzie czyszczono lub przeprowadzano konie, — słowem, życie obozowe wrzało i roiło się wszędy pod jasnem niebem. Na niektórych twarzach znać było wprawdzie trudy straszliwe i głód, ale słońce powlokło złotem nędzę, zresztą zaczęły się dla tych niezrównanych żołnierzy dnie wypoczynku, więc nabrali zaraz ducha i wojennej postawy. Pan Wołodyjowski podziwiał ich w duchu, zwłaszcza piesze pułki, słynne na cały świat z wytrwałości i męstwa, Sadowski zaś, w miarę jak przejeżdżali, objaśniał:

— To, smalandzki pułk gwardji królewskiej. To, piechota delekarlijska, najprzedniejsza.

— Na Boga! a to co za małe monstra? — zakrzyknął nagle Zagłoba, ukazując kupę małych człowieczków z oliwkową cerą i czarnemi, wiszącemi po obu stronach głowy włosami.

— Ta Lapończykowie [x], którzy do najdalej siedzących Hiperborejów się liczą.

— Dobrzyż do bitwy? Bo mi się widzi, że mógłbym po trzech na każdą garść wziąć i póty łbami stukać, pókibym się nie zmachał!

---

[1] mieszkańcy północnej Rosji, Finlandji, Szwecji i Norwegji.

— Z pewnością mógłbyś waszmość to uczynić! Do bitwy oni na nic. Szwedowie ich ze sobą do posług obozowych wodzą, a w części dla osobliwości. Zato czarownicy z nich exquisitissimi, każden najmniej jednego djabła, a niektórzy po pięciu do usług mają.

— Skądże im taka ze złemi duchami komitywa? — pytał, żegnając się znakiem krzyża, Kmicic.

— Bo w ustawicznej nocy brodzą, która po pół roku i więcej u nich trwa, wiadomo zaś waszmościom, że w nocy najłatwiej z djabłem o styczność.

— A duszę mają?

— Niewiadomo, ale tak myślę, że animalibus [1] są podobniejsi.

Kmicic posunął konia, chwycił jednego Lapończyka za kark, podniósł go, jak kota, do góry i obejrzał ciekawie, następnie postawił go na nogi i rzekł:

— Żeby mi król takiego jednego podarował, kazałbym go uwędzić i w Orszy w kościele powiesić, gdzie z innych osobliwości strusie jaje się znajduje.

— A w Lubniach była u fary szczęka wielorybia albo-li też wielkoluda — dodał Wołodyjowski.

— Jedźmy, bo jeszcze co paskudnego od nich się do nas przyczepi! — rzekł Zagłoba.

[1] do zwierząt.

— Jedźmy — powtórzył Sadowski. — Prawdę mówiąc, powinienbym był kazać waściom worki na głowę założyć, jako jest zwyczaj, ale nie mamy tu co ukrywać, a żeście na szańce spoglądali, to dla nas lepiej.

Zaczem ruszyli końmi i po chwili byli przed dworem gorzyckim. Przed bramą zeskoczyli z kulbak, i zdjąwszy czapki, szli dalej piechotą, bo sam król był przed domem.

Ujrzeli tedy moc jenerałów i oficerów bardzo świetnych. Był tam stary Wittemberg, Duglas, Loewenhaupt, Müller, Eriksen i wielu innych. Wszyscy siedzieli na ganku, nieco za królem, którego krzesło wysunięte było naprzód, i patrzyli na krotofilę, którą Karol Gustaw sobie z jeńcem wyprawiał. Roch rozciągnął właśnie dopiero co dwunastego rajtara i stał w porozrywanym przez zapaśników kubraku, zdyszany i spocon wielce. Ujrzawszy wuja w towarzystwie Kmicica i Wołodyjowskiego, rozumiał zrazu, że ich również w niewolę wzięto, więc wytrzeszczył oczy i otworzył usta, zaczem postąpił parę kroków, lecz Zagłoba dał mu znak ręką, by stał spokojnie, sam zaś postąpił z towarzyszami przed oblicze królewskie.

Sadowski począł prezentować wysłanników, oni zaś kłaniali się nisko, jak obyczaj i etykieta nakazywała, następnie Zagłoba oddał pismo Czarnieckiego.

Król wziął list i począł czytać, tymczasem

towarzysze przypatrywali mu się z ciekawością, bo nigdy go przedtem nie widzieli. Był to pan w kwiecie wieku, na twarzy tak smagły, jakoby się Włochem albo Hiszpanem urodził. Długie pukle czarnych jak krucze skrzydła włosów spadały mu wedle uszu aż na ramiona. Z blasku i barwy oczu przypominał Jeremiego Wiśniowieckiego, jeno brwi miał bardzo do góry podniesione, jak gdyby się dziwił ustawicznie. Natomiast w miejscu, gdzie się brwi schodzą, czoło podnosiło mu się w duże wypukłości, które czyniły go do lwa podobnym; głęboka zmarszczka nad nosem, nie schodząca nawet wówczas, gdy się śmiał, nadawała jego twarzy wyraz groźny i gniewny. Wargę dolną miał tak wysuniętą naprzód, jak Jan Kazimierz, jeno twarz tłustszą i większy podbródek; wąsy nosił nakształt sznureczków, nieco na końcach rozszerzonych. Wogóle oblicze jego zwiastowało nadzwyczajnego człowieka, jednego z takich, którzy chodząc po ziemi, krew z niej wyciskają. Była w nim wspaniałość i duma monarsza, i siła lwia, i lotność genjuszu, jeno, choć uśmiech łaskawy nie schodził mu nigdy z ust, nie było owej dobroci serca, która takiem łagodnem światłem oświeca od wewnątrz lica, jak lampka wstawiona w środek alabastrowej urny.

Siedział tedy w fotelu ze złożonemi nakrzyż nogami, których potężne łydki rysowały się

wyraźnie z pod czarnych pończoch, i mrugając, wedle zwyczaju, oczyma, czytał z uśmiechem list Czarnieckiego. Nagle, podniósłszy powieki, spojrzał na pana Michała i rzekł:

— Poznaję natychmiast waćpana: tyś to usiekł Kanneberga.

Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast na Wołodyjowskiego, któren ruszył wąsikami, skłonił się i odrzekł:

— Do usług waszej królewskiej mości!

— Jaka szarża? — pytał król.

— Pułkownik chorągwi laudańskiej.

— Gdzieś dawniej służył?

— U wojewody wileńskiego.

— I opuściłeś go wraz z innymi? Zdradziłeś jego i mnie.

— Swemu królowi byłem powinien, nie waszej królewskiej mości.

Król nie odrzekł nic; wszystkie czoła zmarszczyły się, oczy poczęły świdrować w panu Michale, lecz on stał spokojnie, tylko wąsikami ruszał raz po razu.

Nagle król rzekł:

— Miło mi poznać tak znamienitego kawalera. Kanneberg uchodził między nami za niezwyciężonego w spotkaniu. Waść musisz być pierwszą szablą w tem państwie?...

— In universo! — rzekł Zagłoba.

— Nie ostatnią — odpowiedział Wołodyjowski.

— Witam waściów uprzejmie. Dla pana Czarnieckiego mam prawdziwą estymę, jako dla wielkiego żołnierza, chociaż mi parol złamał, bo powinien dotąd spokojnie w Siewierzu siedzieć.

Na to Kmicic:

— Wasza królewska mość! Nie pan Czarniecki, ale jenerał Müller pierwszy parol złamał, Wolf owy regiment królewskiej piechoty zagarniając.

Müller postąpił krok, spojrzał w twarz Kmicicowi i począł coś szeptać do króla, któren, mrugając ciągle oczyma, słuchał dość pilnie, spoglądając na pana Andrzeja, wreszcie rzekł:

— To widzę wybranych kawalerów pan Czarniecki mi przysłał. Ale zdawna to wiem, że rezolutów między wami nie brak, jeno wiary w dotrzymaniu obietnic i przysiąg brakuje.

— Święte słowa waszej królewskiej mości! — rzekł Zagłoba.

— Jak to waść rozumiesz?

— Bo gdyby nie ta narodu naszego przywara, tobyś, miłościwy panie, tu nie był!

Król znów pomilczał chwilę, jenerałowie znów zmarszczyli się na śmiałość wysłannika.

— Jan Kazimierz sam was od przysięgi uwolnił, — rzekł Karol, — bo was opuścił i za granicę się schronił.

— Od przysięgi jeno namiestnik Chrystusów uwolnić zdolen, który w Rzymie mieszka i który nas nie uwolnił.

— Mniejsza z tern! — rzeki król. — Ot, tern zdobyłem to królestwo — (tu uderzył się po szpadzie) — i tem utrzymam. Nie potrzeba mi waszych sufragjów, ni waszych przysiąg. Chcecie wojny, będziecie ją mieli! Tak myślę, że pan Czarniecki jeszcze o Gołębiu pamięta?

— Zapomniał po drodze z Jarosławia — odrzekł Zagłoba.

Król, zamiast się rozgniewać, rozśmiał się.

— To mu przypomnę!

— Bóg światem rządzi!

— Powiedzcie mu, niech mnie odwiedzi. Mile go przyjmę, jeno niech się śpieszy, bo jak konie odpasę, pójdę dalej.

— Wtedy my waszą królewską mość przyjmiemy! — odrzekł, kłaniając się i kładąc nieznacznie rękę na szabli, Zagłoba.

Król na to:

— Widzę, że pan Czarniecki nietylko najlepsze szable, ale i najlepszą gębę w poselstwie przysłał. W mig waść każde pchnięcie parujesz t. Szczęście, że nie na tem wojna polega, bo godnego siebie znalazłbym przeciwnika. Ale przystępuję do materji: Pisze mi pan Czarniecki, żebym owego jeńca wypuścił, dwóch mi za to wzamian znacznych oficerów

---

[1] odpierasz.

ofiarując. Nie lekceważę tak moich żołnierzy, jako wy myślicie, i zbyt tanio ich okupywać nie clicę, — byłoby to przeciw mojej i ich ambicji. Natomiast, ponieważ niczego panu Czarnieckiemu odmówić nie zdołam, przeto mu podarunek z tego kawalera zrobię.

— Miłościwy panie! — odrzekł na to Zagłoba — nie kontempt oficerom szwedzkim, ale kompasję dla mnie chciał pan Czarniecki okazać, bo to jest mój siostrzan, ja zaś jestem, do usług waszej królewskiej mości, pana Czarnieckiego konsyljarzem.

— Po prawdzie — rzekł, śmiejąc się, król — nie powinienbym tego jeńca puszczać, bo przeciw mnie ślubował, chyba, że się za ono beneficjum ślubu swego wyrzecze.

Tu zwrócił się do stojącego przed gankiem Rocha i kiwnął ręką.

— A pójdź-no tu bliżej, osiłku!

Roch przybliżył się o parę kroków i stanął wyprostowany.

— Sadowski, — rzekł król, — spytaj się go, czy mnie zaniecha, jeśli go puszczę?

Sadowski powtórzył królewskie pytanie.

— Nie może być! — zawołał Roch.

Król zrozumiał bez tłumacza i począł w ręce klaskać i oczyma mrugać.

— A co! a co! Jakże takiego puszczać? Dwunastu rajtarom karku nadkręcił, a mnie trzynastemu obiecuje! Dobrze! dobrze! Udał

mi się kawaler! Czy i on jest pana Czarnieckiego konsyljarzem? W takim razie jeszcze prędzej go wypuszczę.

— Stul gębę, chłopie! — mruknął Zagłoba.

— Dość krotochwil — rzekł nagłe Karol Gustaw. — Bierzcie go, i miejcie jeden więcej dowód mojej klemencji. Przebaczyć mogę, jako pan tego królestwa, gdy taka moja wola i łaska, ale w układy wchodzić z buntownikami nie chcę.

Tu brwi królewskie zmarszczyły się i uśmiech nagle znikł mu z oblicza.

— Kto bowiem przeciw mnie rękę podnosi, ten jest buntownikiem, gdyż jam tu prawym panem. Z miłosierdzia jeno nad wami nie karałem dotąd jak należy, czekałem upamiętania, — przyjdzie wszelako czas, że miłosierdzie się wyczerpie i pora kary nastanie. Przez waszą to swawolę i niestałość kraj ogniem płonie, przez wasze to wiarołomstwo krew się leje. Lecz mówię wam: upływają dnie ostatnie... nie clicecie słuchać napomnień, nie chcecie słuchać praw, to posłuchacie miecza a szubienicy !

I błyskawice poczęły migotać w Karolowych oczach; Zagłoba patrzył nań przez chwilę ze zdumieniem, nie mogąc zrozumieć, skąd się wzięła ta nagła burza po pogodzie, wreszcie i w nim poczęło się serce podnosić, więc skłonił się i rzekł tylko:

•— Dziękuj em waszej królewskiej mości.

Poczem odszedł, a za nim Kmicic, Wołodyjowski i Roch Kowalski.

— Łaskawy, łaskawy! — mówił Zagłoba — a ani się spostrzeżesz, kiedy ci ryknie w ucho jak niedźwiedź. Dobry koniec poselstwa ! Inni kielichem na wsiadanego częstują, a on szubienicą! Niechże psów wieszają, nie szlachtę! Boże, Boże! jak my ciężko grzeszyli przeciw naszemu panu, który ojcem był, ojcem jest i ojcem będzie, bo jagiellońskie w nim serce! I takiego to pana zdrajcy opuścili, a poszli z zamorskiemi straszydły się kumać. Dobrze nam tak, bo niceśmy lepszego nie warci. Szubienicy! szubienicy!... Samemu już ciasno, przycisnęliśmy go, jako twaróg w worku, że już serwatką popuszcza, a on jeszcze mieczem i szubienicą grozi. Poczekaj ! Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Będzie wam jeszcze ciaśniej... Rochu! cliciałem ci po gębie dać albo pięćdziesiąt na kobiercu, ale ci już przebaczę, za to, żeś się po kawalersku stawił i dalej go ścigać obiecałeś. Dajże gęby, boni' z ciebie rad!

— Przecie wuj rad! — odrzekł Roch.

— Szubienica a miecz ! I mnie to w oczy powiedział! — mówił znów po chwili Zagłoba. — Macie protekcję! Wilk tak samo barana do własnych kiszek proteguje!... I kiedyż to mówi? Teraz, gdy mu się już gęsia skóra na krzyżach robi. Niech sobie Lapończyków na konsyljarzy dobierze i z nimi ra-

zem djabelskiej protekcji szuka! A nas będzie Najświętsza Panna sekundowała, jako pana Bobolę w Sandomierzu, którego prochy na drugą stronę Wisły razem z koniem przerzuciły, a dlatego mu nic. Obejrzał się, gdzie jest, i zaraz na obiad do księdza trafił. Przy takiej pomocy jeszcze my icli wszystkich, jako raki z więcierza, za szyje powyciągamy...

## ROZDZIAŁ III.

Upłynęło dni kilkanaście. Król siedział ciągle w widłach rzecznych i gońców na wszystkie strony rozsyłał do fortec, do komend, w kierunku Krakowa i Warszawy, z rozkazami, by mu wszyscy z pomocą śpieszyli. Sprowadzano mu też Wisłą prowjanty, ile można było, ale niedostatecznie. Po upływie dni dziesięciu poczęto konie jeść, a rozpacz ogarniała króla i jenerałów na myśl, co będzie, gdy rajtarja od koni odpadnie i gdy armat nie będzie w co zaprząc. Zewsząd też przychodziły wieści niepocieszające. Kraj cały tak gorzał wojną, jakby go kto smołą polał i zapalił. Mniejsze komendy, niniejsze prezydja, nie mogły śpieszyć na pomoc, bo nie mogły wychylać się z miast i miasteczek. Litwa, trzymana dotąd żelazną ręką Pontusa de la Gardie, powstała jak jeden człowiek. Wielkopolska, która poddała się najpierwsza, najpierw-

sza też zrzuciła jarzmo i świeciła całej Rzeczypospolitej przykładem wytrwania, zawziętości, zapału. Partje szlacheckie i chłopskie rzucały się tam nietylko na stojące po wsiach załogi, ale nawet na m-iasta. Próżno Szwedzi mścili się straszliwie nad krajem, próżno ucinali ręce schwytanym w niewolę jeńcom, puszczali z dymem wsie, wycinali w pień osady, wznosili szubienice, sprowadzali tortury z Niemiec dla męczenia buntowników. Kto miał cierpieć, cierpiał, kto miał ginąć, ginął, — lecz jeśli był szlachcicem, ginął z szablą, jeśli chłopem, ginął z kosą w ręku. I lała się krew szwedzka po całej Wielkopolsce, lud żył w lasach, niewiasty nawet porywały za broń; kary wywoływały tylko zemstę i tern większą zaciekłość. Kulesza, Krzysztof Żegocki i wojewoda podlaski uwijali się nakształt płomieni po kraju, a oprócz nich wszystkie bory pełne były partyj; pola leżały nieuprawne, głód srogi rozwielmożnił się w kraju, lecz najbardziej skręcał wnętrzności Szwedów, bo ci w miastach, za bramami zamkniętemi, siedzieli i nie mogli wychylać się w pole.

Aż wreszcie poczęło im braknąć tchu w piersiach.

Na Mazowszu było to samo. Tam lud kurpiowski, w mrokach leśnych żyjący, wychylił się z puszcz, poprzecinał drogi, przejmował żywność i gońców. Na Podlasiu rojna drobna

szlachta tysiącami ciągnęła do Sapiehy lub na Litwę. Lubelskie było w rękach konfederacji. Z Rusi dalekicłi szli Tatarzy, a z nimi i zmuszeni do posłuszeństwa Kozacy.

Więc wszyscy byli już pewni, że jeżeli nie za tydzień, to za miesiąc, jeżeli nie za miesiąc, to za dwa, owe widły rzeczne, w których stał Karol Gustaw z główną armją szwedzką, zmienią się w jedną wielką mogiłę — na sławę narodu, na straszną naukę dla tych, którzyby Rzeczpospolitą napadać chcieli. Przewidywano już koniec wojny, byli tacy, którzy mówili, że Karolowi jeden tylko ratunek pozostał: wykupić się i oddać Rzeczypospolitej Inflanty szwedzkie.

Lecz nagle polepszyły się losy Karola Gustawa i Szwedów.

Dnia 20 marca poddał się Malborg, aż dotąd napróżno przez Steinboka oblegany. Silna i dzielna armja jego nie miała teraz nic do roboty i mogła pośpieszyć na ratunek królowi.

Z drugiej strony margraf badeński, skończywszy zaciągi, z gotową siłą i niestrudzonym jeszcze żołnierzem ruszył również ku widłom rzecznym.

Obaj posuwali się naprzód, gromiąc pomniejsze kupy powstańcze, niszcząc, paląc, mordując. Po drodze zabierali prezydja szwedzkie, ściągali pomniejsze komendy i rośli w siłę, jak rzeka rośnie tern bardziej, im więcej strumieni w siebie przyjmuje.

Wieści o upadku Malborga, o Steinbokowej armji i o pochodzie margrabiego badeńskiego doszły bardzo prędko do wideł rzecznych i strapiły serca polskie. Steinbok był jeszcze daleko, ale margrabia badeński, idąc śpiesznemi pochodami, mógł wkrótce nadejść i zmienić całą postać rzeczy pod Sandomierzem.

Złożyli tedy wodzowie polscy radę, w której wzięli udział pan Czarniecki, pan hetman litewski, Michał Radziwiłł, krajczy koronny, pan Witowski, stary doświadczony żołnierz, i pan Lubomirski, który od pewnego czasu przykrzył sobie na Zawiślu. Na radzie owej postanowiono, iż pan Sapieha z litewskiem wojskiem pozostanie pilnować Karola, ażeby się z wideł nie wymknął, zaś pan Czarniecki ruszy przeciw margrabiemu badeńskiemu i spotka go, jako będzie mógł najprędzej, zaczeni, jeżeli mu Bóg wiktorję spuści, powróci po staremu króla oblegać.

Rozkazy odpowiednie zostały natychmiast wydane. Nazajutrz zagrały trąbki wsiadanego, tak cicho, że je ledwie usłyszano, chciał bowiem Czarniecki odejść w tajemnicy przed Szwedami. Na dawnem obozowisku położyło się zaraz kilka luźnych partyj szlacheckich i chłopskich. Ci porozpalali ogniska i huczeć poczęli, aby nieprzyjaciel myślał, iż nikt z majdanu nie wyszedł, — zaś kasztelańskie chorągwie wymykały się jedna za drugą. Po-

szła więc naprzód laudańska, która po prawie powinna była przy panu Sapieże pozostać, ale że Czarniecki bardzo się w niej rozkochał, więc mu hetman nie chciał jej odbierać. Za laudańską poszła Wąsowieżowa, lud wybrany, przez starego żołnierza prowadzony, któremu pół wieku we krwi rozlewie zeszło; zaczerń poszła księcia Dymitra Wiśniowieckiego pod Szandarowskim, ta sama, która pod Rudnikiem niezmierną chwałą się okryła; zaczem pana Witowskiego dragonji dwa regimenty, zaczem dwie pana starosty jaworowskiego; słynny Stapkowski w jednej porucznikował; zaczem kasztelańska własna, królewska pod Polanowskim, i cała siła pana Lubomirskiego. Piechoty nie brano dla pośpiechu, ni wozów, bo komunikiem iść mieli.

Wszystkie razem stanęły pod Zawadą, w sile znacznej i ochocie wielkiej. Wówczas wyjechał na przodek pan Czarniecki, i uszykowawszy je do pochodu, sam zatrzymał nieco konia i puszczał je mimo siebie, tak, aby całą siłę dobrze obejrzeć. Koń pod nim prychał i łbem rzucał a kiwał, jakby chcąc witać przechodzące pułki, a samemu kasztelanowi serce rosło. Piękny też widok miał przed oczyma! Jak okiem sięgnął, fala koni, fala srogich lic żołnierskich, ruchem końskim kołysana, nad niemi trzecia jeszcze fala szabel i grotów, migotliwa i błyszcząca w porannem słońcu. Siła okrutna szła od nich, a tę siłę czuł w sobie

pan kasztelan, bo już nie była to lada jaka zbieranina wolentarska, ale lud na kowadle wojennem wykuty, sprawny, ćwiczony, i w bitwie tak „jadowity“, że żadna w świecie jazda zdzierżyć mu w równej sile nie mogła. Więc pan Czarniecki uczuł w tej chwili, że na pewno, że bez żadnej wątpliwości z tymi ludźmi rozniesie na szablach i kopytach wojsko margrabiego badeńskiego, i owo przeczuwane zwycięstwo rozpromieniło mu tak oblicze, że blask bił od niego na pułki.

— Z Bogiem! Po wiktorję! — zakrzyknął wreszcie.

— Z Bogiem! Pobijemy! — odpowiedziały mu potężne głosy.

I okrzyk ów przeleciał przez wszystkie chorągwie, jak głuchy grzmot przez chmury. Czarniecki wspiął konia, by dognać idącą w przodku laudańską.

I poszli.

Szli zaś nie jak ludzie, ale jak stado ptaków drapieżnych,które,zwietrzywszy bój w oddali, lecą z wichrem na prześcig. Nigdy, nawet między Tatarami w stepie, nikt nie słyszał o takim pochodzie. Żołnierz spał w kulbace, jadł i pił nie zsiadając; konie karmiono z ręki. Rzeki, bory, wsie, miasta, zostawały za nimi. Ledwie po wsiach wypadli chłopi z chałup patrzeć na wojsko, już wojsko nikło w oddali za tumanami kurzawy. Szli dzień i noc,

tyle tylko wypoczywając, aby koni nie wygubić.

Wreszcie pod Kozienicami wpadli na ośm chorągwi szwedzkich, pod wodzą Torneskilda. Laudańska, idąca w przodku, pierwsza dojrzała nieprzyjaciela, i nie odetchnąwszy nawet, natychmiast skoczyła ku niemu w dym. Drugi poszedł Szandarowski, trzeci Wąsowicz, czwarty Stapkowski.

Szwedzi, mniemając, że z jakiemiś partjami mają do czynienia, stawili w otwartem polu czoło — iw dwie godziny później nie pozostała jedna żywa dusza, którąby mogła do margrabiego dobiec i krzyknąć, że to Czarniecki idzie. Poprostu rozniesiono na szablach owe ośm chorągwi, świadka klęski nie zostawując. Poczem ruszyli, jakby kto sierpem rzucił, ku Magnuszewu, szpiegowie bowiem dali znać, iż margrabia badeński z calem wojskiem w Warce się znajduje.

Pan Wołodyjowski został wysłany na noc z podjazdem, aby dał znać, jak wojsko rozłożone i jaka jego siła.

Bardzo na ową ekspedycję narzekał pan Zagłoba, albowiem nawet przesławny Wiśniowiecki nigdy takich pochodów nie odbywał; żalił się też stary towarzysz, lecz wołał iść z Wołodyjowskim, niż przy wojsku zostawać.

— Złoty był pod Sandomierzem czas, — mówił, przeciągając się w kulbace, — człek jadł, spał i na oblężonych Szwedów zdała

spoglądał, a teraz niema kiedy i manierki do gęby przyłożyć. Znam ja sztukę wojenni} antiquorum [1] wielkiego Pompejusza[2] i Cezara, ale pan Czarniecki nową modę wymyśla. Przeciw wszelkiej jest to regule trząść brzuch przez tyle dni i nocy. Z głodu już imaginacja rebelizować we mnie poczyna, i ciągle mi się zdaje, że gwiazdy to kasza, a księżyc sperka. Na psa taka wojna! Jak mi Bóg miły, tak z głodu chce się własnemu koniowi uszy obgryźć !

— Jutro, da Bóg, wypoczniemy po Szwedach !

— Wolę już Szwedów, niż taką mitręgę! Panie! Panie! kiedy Ty dasz spokój tej Rzeczypospolitej, a staremu Zagłobie ciepły przypiecek i piwo grzane?... niechby i bez śmietany... Kołataj się, stary, na szkapie, kołataj, póki się do śmierci nie dokołatasz... Nie ma tam który tabaki? Może ową senność nozdrzami wyparsknę... Księżyc mi w samą gębę świeci, że aż do brzucha zagląda, a nie wiem, czego tam szuka, bo nic nie znajdzie. Na psa taka wojna, powtarzam !

— Skoro wuj myślisz, że księżyc to sperka, to go wuj zjedz! — rzekł Roch.

— Gdybym ciebie zjadł, mógłbym powiedzieć, że wołowinę jadłem, ale boję się, bym po takiej pieczeni reszty dowcipu nie utracił.

---

[1] starożytnych. [2] wodza rzymskiego, przeciwnika Cezara.

— Jeśli ja wół, a wuj mój wuj, to wuj co?

— A ty, kpie, myślisz, że Ąltea [1] dlatego porodziła głownię, że przy piecu siedziała?

— A mnie co do tego ?!

— To do tego, że jeśliś wołem, to się naprzód o ojca swego dopytuj, nie o wuja, — bo Europę [2] byk porwał, ale brat jej, który wypadł wujem jej potomstwu, był dlatego człowiekiem. Rozumiesz?

— Coprawda, nie rozumiem, ale zjeść, tobym też co zjadł.

— Zjedz licha i daj mnie spać! Co tam, panie Michale? Czemuśmy to stanęli?

— Warkę widać — rzekł Wołodyjowski. — Ot, wieża kościelna błyszczy w miesiącu.

— A Magnuszew jużeśmy minęli?

— Magnuszew został na prawo. Dziwno mi, że po tej stronie rzeki żadnego podjazdu szwedzkiego niemasz. Pojedziem do tych chaszczów i postoim, może nam Bóg spuści jakowego języka.

To rzekłszy, pan Michał wprowadził oddział do zarośli i ustawił o sto kroków po obu stronach drogi, przykazawszy, by cicho stali i cugle trzymali krótko, aby który koń nie zarżał.

---

[1] bohaterka podania greckiego; życie lub śmierć jej syna zależały od zachowania lub spalenia głowni drzewa, która w dzień jego urodzin zjawiła się przy ognisku. [2] legendarną królewnę, którą porwał grecki bóg Zeus, przybrawszy postać byka.

— Czekać! — rzekł. — Posłuchamy, co się za rzeką dzieje, a może i co obaczym.

Stanęli więc, lecz długi czas nie było nic słychać, prócz słowików, które w pobliskim gaju olszynowym zaśpiewywały się na śmierć. Strudzeni żołnierze poczęli się kiwać w kulbakach, pan Zagłoba położył się na szyi końskiej i zasnął głęboko; nawet i konie drzemały. Upłynęła godzina. Wreszcie wprawne ucho pana Wołodyjowskiego dosłyszało coś podobnego do stąpania koni po twardej drodze.

— Czuj duch! — rzekł do żołnierzy.

Sam zaś wysunął się na brzeg chaszczów i spojrzał na drogę. Droga błyszczała w księżycu, jak srebrna wstęga, ale nic nie było na niej widać, odgłos kroków końskich zbliżał się jednak.

—• Idą na pewno! — rzekł Wołodyjowski.

I wszyscy ściągnęli jeszcze krócej konie, każdy zatamował oddech; nie było słychać nic prócz kląskania słowików w olszynie.

Wtem na drodze ukazał się oddział szwedzki, złożony z trzydziestu jeźdźców. Szli zwolna i dość niedbale, nie w szeregu, ale rozwleczonem pasmem. Żołnierze jedni gawędzili ze sobą, drudzy pośpiewywali zcicha, bo ciepła noc majowa działała nawet na twarde dusze żołnierskie. Przeszli, nic nie podejrzywając, tak blisko od stojącego nieopodal brzegu pana

Michała, że mógł zawietrzyć zapach koni i dym lulek[1] które rajtarowie palili.

Nakoniec znikli na zakręcie drogi. Wołodyjowski czekał nawet dość długo, aż tętent zginął w oddaleniu, wówczas dopiero zjechał do oddziału i rzekł do panów Skrzetuskicli:

— Pognamy ich teraz, jako gęsi, do obozu pana kasztelana. Żaden nie powinien ujść, by nie dał znać!

— Jeśli potem pan Czarniecki nie pozwoli nam się najeść i wyspać, — rzekł Zagłoba, — to mu podziękuję za służbę i wracam do Sapja. U Sapja, kiedy bitwa, to bitwa, ale kiedy fryszt, to i uczta. Żebyś miał cztery gęby, wszystkim dałbyś funkcję przystojną. To mi wódz! I, prawdę rzekłszy, powiedz mi, po kiego djabła nie służymy u Sapja, gdy ta chorągiew z prawa mu przynależy?

— Ojciec nie bluźnij przeciw największemu wojownikowi w Rzeczypospolitej — rzekł Jan Skrzetuski.

— Nie ja bluźnię, jeno moje kiszki, na których głód gra, jak na skrzypcach.

— Potańcują przy nich Szwedzi — przerwał Wołodyjowski. — Teraz, mości panowie, jedźmy żywo! Przy onej karczmie w lesie, którąśmy w tę stronę jadąc, minęli, chciałbym właśnie na nich nastąpić.

---

[1] fajek.

I poprowadził oddział szybciej, ale niezbyt szybko. Wjecliali w las gęsty, w którym ogarnęła ich ciemność. Karczma ta była o kilkanaście stajań. Zbliżywszy się do niej, szli znów noga za nogą, by zbyt wcześnie alarmu nie dawać. Gdy byli nie więcej już jak na strzał armatni, doszedł ich gwar ludzki.

— Są, i hałasują! — rzekł Wołodyjowski.

Szwedzi istotnie zatrzymali się przy karczmie, szukając jakiej żywej duszy, od której mogliby zasięgnąć języka. Lecz karczma była pusta. Jedni tedy przetrząsali główną budowę, inni szukali w oborze, w chlewach, inni podnosili snopki w dachach. Połowa stała na majdanie, trzymając konie tym, którzy szukali.

Oddział Wołodyjowskiego zbliżył się na sto kroków i począł tatarskim półksiężycem otaczać karczmę.

Stojący na majdanie słyszeli doskonale, a wkońcu widzieli ludzi i konie, lecz że w lesie było ciemno, nie mogli poznać, co to za wojsko, nie alarmowali się zaś bynajmniej, ani przypuszczając, by z tamtej strony mógł jakikolwiek inny, niż szwedzki oddział zajeżdżać. Dopiero ów ruch półksiężycowy zdziwił i zaniepokoił ich. Odezwały się zaraz wołania na tych, którzy byli w budynkach.

Nagle naokół karczmy rozległ się krzyk: „Ałła!“ i huk kilku wystrzałów. W jednej chwili ciemne tłumy żołnierzy pojawiły się, jakby z pod ziemi wyrosły. Uczynił się zamęt

i szczękanie szablami, klątwy, stłumione krzyki, lecz wszystko nie trwało dłużej nad dwa pacierze.

Poczem na majdanie przed karczmą zostało kilka ciał ludzkich i końskich, oddział zaś Wołodyjowskiego ruszył dalej, prowadząc ze sobą dwudziestu pięciu jeńców.

Szli teraz wskok, poganiając płazami szabel rajtarskie konie, i skoro świt, doszli do Magnuszewa. W obozie Czarnieckiego nikt nie spał; wszyscy byli w pogotowiu. Sam kasztelan wyszedł przeciw podjazdowi, wspierając się na obuszku, wychudzony i blady z bezsenności.

— Co tam? — spytał Wołodyjowskiego. — Siła masz języka?

— Jest dwudziestu pięciu jeńców.

— A ilu uszło?

— Nec nuntius cładis [x]. Wszyscy ogarnięci!

— Ciebie jeno wysłać, choćby do piekła, żołnierzyku! Dobrze! Wziąć ich zaraz na pytki. Sam będę indagował!

To rzekłszy, kasztelan zwrócił z miejsca, a odchodząc, rzekł:

— A być w gotowości, bo może niemieszkając ruszymy na nieprzyjaciela.

— Jakto? — rzekł Zagłoba.

— Cicho waść! — odpowiedział Wołodyjowski.

---

[1] ani nawet zwiastun klęski.

Szwedzcy jeńcy bez przypiekania w mig zeznali, co było im wiadomo o siłach margrabiego badeńskiego, o ilości armat, piechoty i jazdy. Zadumał się tedy nieco pan kasztelan, bo się dowiedział, że wprawdzie jest to nowozaciężna armja, ale złożona z samych starych żołnierzy, którzy w Bóg wie ilu wojnach udział brali. Było też siła pomiędzy nimi Niemców i znaczny oddział francuski; cała siła przewyższała o kilkaset głów wojsko polskie. Lecz natomiast pokazało się z zeznań, iż margrabia ani przypuszczał nawet, iżby Czarniecki był tak blisko, i wierzył, iż Polacy całą siłą oblegają króla pod Sandomierzem.

Ledwie to usłyszał kasztelan, gdy zerwał się z miejsca i zakrzyknął na swego dworzanina:

— Witowski, każ trąbić przez munsztuk, by na koń siadano!

W pół godziny później wojsko ruszyło, i szło świeżym rankiem wiosennym przez lasy i pola rosą okryte. Wkońcu Warka, a raczej jej zgliszcza, bo miasto przed sześciu laty spłonęło było niemal zeszczętem, ukazały się na widnokręgu.

Wojska Czarnieckiego szły po otwartej płaszczyźnie, więc długo się przed okiem szwedzkiem ukrywać nie mogły. Jakoż dostrzeżono je, ale margrabia mniemał, iż to są rozmaite „partje“, które — połączone w znaczną kupę — chcą alarmować obóz.

Dopiero gdy coraz nowe chorągwie, idące rysią, ukazywały się z za lasu, powstał ruch gorączkowy w szwedzkim obozie. Z pola widziano mniejsze oddziały rajtarji i pojedynczych oficerów, przebiegających między pułkami. Barwna szwedzka piechota poczęła wysypywać się na środek równiny; pułki formowały się jeden za drugim w oczach polskich żołnierzy i stawały rojnie, nakształt kraśnych stad ptactwa. Nad głowami ich podnosiły się ku słońcu czworoboki potężnych dzid, któremi piechurowie zasłaniali się przed impetem jazdy. Nakoniec ujrzano tłumy jazdy szwedzkiej pancernej, biegnące kłusem na skrzydła; zataczano i odprzodkowywano nagwałt armaty. Wszystkie przygotowania, cały ten ruch widać było, jak na dłoni, bo wstało słońce jasne, przepyszne, i rozświeciło całą krainę.

Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa, stawającego co duchu do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dąć w krzywuły i następował ze wszystkiemi chorągwiami ku rzece.

Wtem poskoczył, co tchu w dzianecie, do Wąsowiczowej chorągwi, która była najbliżej rzeki.

— Stary żołnierzu! — krzyknął — ruszaj mi ku mostowi, — tam z koni, i do muszkietów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął buzdyganem. Ludzie, krzyk uczyniwszy, pomknęli za nim jak tuman kurzawy, wiatrem gnanej.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu, zwolnili biegu; tuż dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony, i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiąc cepów biło nieregularnie w klepisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most, który był drewniany, wąski, zatem trudny do zdobycia, a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

To też w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonję Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwległy naczółek. Zataczano coraz nowe sztuki, i faskule poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami Wąsowiczowych i dragonji, padać na łąkę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński, stojąc pod lasem, na tyłach armji, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu do czasu zaś odejmował ją od oczu, i spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

— Poszaleli, — mówił, — koniecznie chcą ów most forsować. Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed całą armją bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętszą. Most stawał się punktem środkowym bitwy, ku któremu zwolna poczęła ciężyć i ściągała się cała linja szwedzka. W godzinę później zmienił się cały jej szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycji. Most zasypywano poprostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

— Zgubi Czarniecki tych ludzi! — krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witowski, jako doświadczony żołnierz, poznał, że źle się dzieje, i aż dygotał cały z niecierpliwości, — nakoniec nie mógł wytrzymać dłużej, zaczem wspiął konia, aż rumak stęknął żałośnie, i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, niewiadomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzece.

— Wasza miłość! — krzyknął Witowski — krew się próżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

— Ja też go nie chcę zdobywać! — odrzekł Czarniecki.

. — Więc czego wasza dostojność chcesz? Co mamy robić?

— Ku rzece chorągwiami! ku rzece! Do szeregu waść!

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się, słowa nie rzekłszy. .

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linją wzdłuż koryta. Nikt z oficerów ni żołnierzy nie wiedział w pień dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy, i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swojej dywizji:

— Mości panowie! Rzeką się nieprzyjaciel zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pognębienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniem!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! — za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami, tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę. Bryznęła naokół fala, mąż i koń

skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

— Za moim panem! — krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikiem' chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

— Za mną! — wrzasnął przeraźliwym, a cienkim głosem Wołodyjowski.

1 nurknął, nim krzyczeć przestał.

— Jezusie, Marjo! — ryknął, wspinając do skoku konia, Zagłoba.

Wtem ława mężów i koni runęła w falę, aż wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzegi. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pana Witowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał taki ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniła się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie, bodzone ostrogami, płynęły, jakby nieprzejrzane stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarniecki przepłynął pierwszy, lecz nim woda zeń ociekła, wypłynęła za nim laudańska, więc machnął pan kasztelan buzdyganem i krzyknął na Wołodyjowskiego:

— Wskok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

— W nicli!

I tak puszczał jedną za drugą, póki wszystkich nie odprawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i zakrzyknąwszy: „W imię Boże! szczęśliwie!“ — ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtarji, stojące w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska, rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy, rozniosła pierwszy pułk, jak wicher liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, — wtem doskoczył za nią Szandarowski i rozpoczęła się rzeź straszna, lecz krótko trwająca; po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie i tłum bezładny począł umykać ku głównej armji.

Chorągwie Czarnieckiego biegły za nimi z krzykiem straszliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścielając.

Stało się wreszcie jasnem, dlaczego pan Czarniecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armji skupiła się na ów punkt, i dlatego nikt nie bronił i nie miał, czasu bronić przeprawy wpław. Przytem wszystkie niemal paszcze armatnie, cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był za rzekę ku mostowi, a teraz, gdy trzy tysiące

jazdy szło jej w bok całym pędem, teraz dopiero trzeba było zmieniać szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zasłonić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy, odwracały się co duchu ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył natychmiast stojące pod lasem pułki jazdy; nim do jakiejkolwiek sprawy przyszli, nim piechota zdołała dzidy tylnenii końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska, jak duch śmierci, w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy strzałów muszkietowych przykryły, jakoby chmurą, całą bitwę, a w tej chmurze krzyk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpaczy, krzyki triumfu, przeraźliwe dźwiękanie żelaza, jakby w kuźni piekielnej, grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapad! w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej — i znów nic nie widziałeś, jeno łoskot rozlegał się coraz straszliwszy, jakoby ziemia zarwała się nagle pod rzeką i jakoby wody jej spadały w przepaść niezgłębioną.

Wtem zboku nowe zabrzmiały wrzaski: — to Wąsowicz przeszedł most i szedł w bok

nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biec ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za niemi lunął wkrótce cały potok ludzki w najokropniejszem zwichrzeniu. Artylerja, piechota, jazda, pomieszane ze sobą, uciekały ku lasowi oślepłe z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli wniebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękoma, inni w biegu zrzucali odzież, inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, tratowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami, pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konie i rzucające się w największą gęstwę ludzką. Nie bronił się już nikt, wszyscy szli pod miecz. Trup padał na trupie. Cięto bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie, po brzegach rzeki, ku lasowi, jak okiem sięgnął, widziałeś tylko uciekających i goniących; gdzieniegdzie tylko pojedyncze oddziały piechoty dawały bezładny, a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armji, która biegła ku lasowi, została w pień wyciętą. Dotarły doń tylko nieliczne szwadrony rajtarji, za któremi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedo-

bitków chłopi, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszliwsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę. Oddział przybocznej jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń, trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkieterów i jazdy, uciekało aż do Mniszewa. Muszkietników wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozproszyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zaroślach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedynczych jeźdźców chłopi.

Nim słońce zaszło, armja Fryderyka margrabiego badeńskiego przestała istnieć.

Na pierwszem pobojowisku pozostali sami tylko chorążowie z gołeini chorągwiami, bo wszyscy ludzie zagnali się za nieprzyjacielem. I słońce miało się już dobrze ku schyłkowi, gdy pierwsze oddziały jazdy poczęły ukazywać się od strony lasu i Mniszewa. Wracały ze śpiewaniem i szumem, wyrzucając w górę czapki, paląc z bandoletów. Prawie wszystkie wiodły za sobą tłumy powiązanych w łyka jeńców. Ci szli przy koniach, bez kapeluszów, bez hełmów, z głowami pospuszczanemi na piersi, obdarci, okrwawieni, co chwila potykający się o ciała poległych współbraci. Pobojo-

wisko straszny przedstawiało widok. W niektórych miejscach, gdzie zderzono się najpotężniej, leżały poprostu stosy trupów, na pół włóczni wysoko. Niektórzy z piechurów trzymali jeszcze zakrzepłemi dłońmi długie włócznie. Włóczniami temi pokryty był cały majdan. Miejscami tkwiły one dotychczas w ziemi; gdzieniegdzie złarnki ich potworzyły jakoby zagrodzenia i płoty. Lecz przeważnie wszędy przedstawiała się oku okrutna a żałosna mieszanina ciał ludzkich, pomiażdżonych kopytami, drzewców, połamanych muszkietów, bębnów, trąb, kapeluszów, pasów, blaszanych ładunków, które nosiła piechota; rąk i nóg sterczących tak bezładnie ze stosów ciał, że trudno było odgadnąć, do kogo należą. Szczególnie w tych miejscach, gdzie broniła się piechota, leżały całe szańce trupów.

W dali nieco, przy rzece, stały ostygłe już armaty, jedne poprzewracane przez napór ludzki, drugie jakoby gotowe jeszcze do strzału. Obok nich spali, ujęci snem wiecznym, kanonierowie, których również wycięto do nogi. Widziano wiele trupów, przewieszonych przez działa i obejmujących je rękoma, jakoby ci żołnierze clicieli je jeszcze po śmierci osłaniać. Spiż, poplamiony krwią i mózgiem, połyskiwał złowrogo w promieniach zachodzącego słońca. Złote blaski odbijały się w zakrzepłej krwi, która tu i owdzie utworzyła małe jeziorka. Ckliwy jej zapach

mieszał się na całem pobojowisku z wonią prochu, z wyziewami ciał i końskim potem.

Pan Czarniecki powrócił jeszcze przed zachodem słońca z królewskim pułkiem i stanął na środku majdanu. Wojska powitały go grzmiącym okrzykiem. Co który oddział nadciągnął, to wiwatował bez końca, on zaś stał w blaskach słonecznych, utrudzon niezmiernie, lecz cały promienny, z gołą głową, z szablą zwieszoną na temblaku, i coraz odpowiadał wiwatującym :

— Nie mnie, mości panowie, nie mnie, lecz imieniowi Boskiemu!

Zaś obok niego stał Witowski i Lubomirski, — ten ostatni jasny, jako samo słońce, bo w pozłociste blachy przybrany, z twarzą obryzganą krwią, bo okrutnie pracował i sam własną ręką siekł, ścinał, jak prosty żołnierz, lecz już markotny i posępny, gdyż nawet jego własne pułki krzyczały:

— Vivat Czarniecki, dux et victor!

Zazdrość więc poczęła już nurtować duszę marszałkowską.

Tymczasem coraz nowe oddziały waliły ze wszystkich stron na pobojowisko, za każdym zaś razem nadjeżdżał towarzysz i ciskał panu Czarnieckiemu pod nogi zdobytą chorągiew nieprzyjacielską. Na ów widok powstawały nowe krzyki, nowe wiwatowania, ciskanie czapek w górę i palba z bandołetów.

Słońce zachodziło coraz niżej.

Wtem, w jedynym kościele, jaki po pożarze w Warce pozostał, zadzwoniono na nieszpór; natychmiast poodkrywały się wszystkie głowy; ksiądz Piekarski, setny ksiądz, zaintonował: „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marji!...“ — a tysiące żelaznych piersi odpowiedziało mu natychmiast potężnemi głosami: „...i poczęła z Ducha świętego!...“

Wszystkie oczy podniosły się ku niebu, które zarumieniło się całe zorzą wieczorną, i z owego krwawego pobojowiska poczęła lecieć ku grającym w górze blaskom przedwieczornym pieśń pobożna.

Właśnie gdy skończono śpiewać, nadjechała rysią laudańska chorągiew, która się była najdalej zagnała za nieprzyjacielem. Żołnierze znów poczęli ciskać chorągwie pod nogi panu Czarnieckiemu, więc on uradował się w sercu, i widząc Wołodyjowskiego, posunął ku niemu konia.

— A siła wam ich uszło? — spytał.

Pan Wołodyjowski począł tylko głową kręcić na znak, że nie siła uszło, lecz tak był zziajany, że słowa jednego przemówić nie mógł, jeno w otwartą gębę łapał powietrze raz po razu, aż mu w piersiach grało. Pokazał wreszcie ręką na usta, że mówić nie może, a pan Czarniecki zrozumiał i za głowę go tylko ścisnął.

— Ten się spracował! — rzekł — bodaj się tacy na kamieniu rodzili! g?

Pan Zagłoba zaś prędzej odzyskał oddech, i szczękając zębami, tak począł przerywanym głosem mówić:

—• Dla Boga! Na pot zimny wiatr wieje!... Paraliż mnie trzaśnie... Zewleczcie szaty z jakiego grubego Szweda i dajcie mi, bo wszystko na mnie mokre... Mokro i mokro... Nie wiem już, co woda, co mój własny pot, a co krew szwedzka... Jeślim ja się spodziewał... że... kiedy w życiu tylu tych szelmów narżnę, tom nie wart być podogoniem przy kulbace... Największa wiktorja w tej wojnie... Ale do wody nie będę drugi raz skakał... Nie jedz, nie pij, nie śpij, a potem kąpiel... Dość mi na stare lata... Ręka mi zemdlała... Już mnie paraliż ima... Gorzałki, na miły Bóg!...

Słysząc to pan Czarniecki, i widząc wiekowego męża istotnie całkiem pokrytego krwią nieprzyjacielską, ulitował się nad wiekiem i podał mu własną manierkę.

Zagłoba przechylił ją do ust i po chwili oddał próżną, poczem rzekł:

— Tylem się wody w Pilicy ożłopał, że rychło patrzeć, jak mi się ryby w brzuchu wylęgną, ale to lepsze od wody.

— A przebierz się waść w inne szaty, choćby i szwedzkie — rzekł pan kasztelan.

— Ja wujowi grubego Szweda poszukam!— ozwał się Roch.

— Poco z trupa mam pokrwawione kłaść —■ odrzekł Zagłoba. — Ściągnij-no wszystko do

koszuli z tego jenerała, któregom w jasyr wziął.

—■ Toś waść wziął jenerała? — spytał żywo pan Czarniecki.

— Kogom nie wziął! czegom nie dokonał! -— odpowiedział Zagłoba.

Wtem pan Wołodyjowski odzyskał mowę:

— Wzięt przez nas młodszy margrabia Adolf, hrabia Falkenstein, jenerał Węgier, jenerał Poter, Benzy, nie licząc pomniejszych oficerów.

—■ A margrabia Fryderyk? — spytał Czarniecki.

—: Jeśli tu nie leży, to uszedł w lasy, ale jeśli uszedł, to go chłopi zabiją!

Pan Wołodyjowski omylił się w swych przewidywaniach. Margrabia Fryderyk wraz z grafem Szlipenbachem i Ehrensheinem, błądząc lasami, dotarli do Czerska; tam posiedziawszy w ruinach zamku trzy dni o chłodzie i głodzie, powędrowali nocą do Warszawy. Nie uchroniło ich to później przed niewolą, na ten raz jednak ocaleli.

Noc już była, gdy pan Czarniecki zjechał ku Warce z pobojowiska. Była to może najweselsza noc w jego życiu, tak wielkiej bowiem klęski nie ponieśli dotąd Szwedzi od początku wojny. Wszystkie działa, wszystkie chorągwie, wszystka starszyzna, prócz naczelnego wodza, była wzięta. Armja zniesiona doszczętu; rozegnane na cztery wiatry małe jej

resztki musiały paść ofiarą kup chłopskich. Lecz pokazało się jeszcze przytem, że owi Szwedzi, którzy sami za niezwyciężonych w otwartem polu się mieli, nie mogą właśnie w otwartem polu mierzyć się z regularnemi polskiemi chorągwiami. Rozumiał wreszcie pan Czarniecki, jak potężny skutek to zwycięstwo w całej Rzeczypospolitej wywrze, jak podniesie ducha, jaki rozbudzi zapał; widział już całą Rzeczpospolitą w niedalekiej przyszłości od ucisku uwolnioną, triumfującą... Może i złocistą wielkolietmańską buławę widział oczyma duszy na niebie...

Wolno mu było o niej marzyć, bo szedł ku niej jak prawy żołnierz, jak obrońca ojczyzny, i był z takich, którzy nie powstają ani z soli, ani z roli, jeno z tego, co ich boli.

Tymczasem ledwie całą duszą mógł objąć tę radość, która na niego spłynęła, więc zwrócił się do jadącego obok marszałka i rzekł :

— Teraz pod Sandomierz! pod Sandomierz, jak najprędzej! Umie już wojsko rzeki przepływać; nie zastraszy nas San, ni Wisła!

Marszałek nie odrzekł ani słowa, natomiast jadący nieco opodal, w szwedzkiem przebraniu, pan Zagłoba pozwolił sobie w głos przemówić:

— Jeďzcie, gdzie chcecie, ale beze mnie, bom ja nie kurek na kościele, który się kręci dniem i nocą, jeść i spać nie potrzebując.

Pan Czarniecki tak był wesół, że nietylko się nie rozgniewał, ale odrzekł, żartując:

— Waść do dzwonnicy, niż do kurka podobniejszy, zwłaszcza że, jako widzę, wróble masz w kopule. Wszelako quod attinet jadła i spoczynku, to się wszystkim przynależy.

Na to Zagłoba, ale już półgłosem:

— Kto ma dzioby na gębie, ten ma wróble na myśli!

## ROZDZIAŁ IV.

Po owem zwycięstwie pozwolił nakoniec Czarniecki odetchnąć wojsku i konie strudzone odpaść, poczem znów wielkiemi pochodami miał wracać pod Sandomierz, by króla szwedzkiego do upadłego gnębić.

Tymczasem pewnego wieczora przybył do obozu pan Charłamp z wieściami od Sapiehy. Czarniecki wyjechał był pod ową porę do Czerska na lustrację pospolitego ruszenia rawskiego, które się pod owem miastem właśnie zbierało, więc Charłamp, nie zastawszy wodza, udał się wprost do Wołodyjowskiego, aby u niego po długiej drodze wypocząć.

Przyjaciele witali go wielce radośnie, lecz on zaraz na wstępie posępną im twarz ukazał i rzekł:

— O waszej wiktorji już słyszałem. Tu nam się uśmiechnęła fortuna, a pod Sandomierzem nas przycisnęła. Niemasz już Caro-

lusa w saku[3], bo się wydobył, a do tego z wielką wojska litewskiego konfuzją.

— Byćdi to może? — zakrzyknął, chwytając się za głowę, pan Wołodyjowski.

Obaj Skrzetuscy i Zagłoba stanęli jak wryci.

— Jakże to było? Powiadaj waćpan, na żywy Bóg, bo we własnej skórze nie usiedzim!

— Już mi i tchu nie staje — odpowiedział pan Charłamp; —- jechałem dzień i noc, strudziłem się okrutnie. Nadjedzie pan Czarniecki, to wszystko alb ovo opowiem. Dajcie mi teraz trochę odsapnąć.

— Więc ot i Carolus wyszedł z saku!... Przewidywałem, że na to przyjdzie. Jakże to? zapomnieliście, iżem to prorokował? Niech Kowalski przyświadczy.

— Wuj prorokował! — rzekł Roch.

— I gdzie Carolus poszedł? — spytał Charłampa Wołodyjowski.

— Piechota popłynęła szmagami [2], a on z jazdą poszedł po Przywiślu ku Warszawie.

— Bitwa była?

— I była, i nie była. Krótko mówiąc, dajcie mi spokój, bo nie mogę gadać!

— Jedno jeno jeszcze powiedz. Zali całkiem pan Sapieha rozbit?

— Gdzie tam rozbit! Goni nawet króla, ale już tam pan Sapieha nikogo nie dogoni!

---

[1] sieci. [2] statkami rzecznemi.

— Taki on do gonienia, jak Niemiec do postu — rzekł Zagłoba.

—- Chwała Bogu i za to, że wojska w całości! — wtrącił Wołodyjowski.

— Podrwili boćwinkowie! — zawołał Zagłoba. — Ha! trudno! Musim znów dziurę w Rzeczypospolitej na współkę łatać!

— Waćpan na litewskie wojsko nie gadaj — odparł Charłamp. — Carolus jest wojennik wielki i nie sztuka z nim przegrać. A wyście to, koroniarze, nie podrwili pod Ujściem, a pod Wolborzem, a pod Sulejowem, a w dziesięciu innych miejscach? Sam pan Czarniecki przegrał pod Gołębiem! Dlaczego nie miał przegrać i pan Sapieha, zwłaszcza gdyście go, jako sierotę, samego zostawili?

— A cóż my to na' tańce pod Warkę poszli? —• rzekł z oburzeniem Zagłoba.

— Wiem, że nie na tańce, jeno na bitwę, i Bóg dał wam wiktorję. Ale kto wie, czy nie lepiej było nie chodzić, bo u nas powiadają, że wojska obojga narodów, każde zosobna może być pobite, ale w kupie i sam piekielny komput nie poradzi.

— Może to być, — rzekł Wołodyjowski, — ale co wodzowie uradzili, w to nam nie wchodzić. Nie bez tego też, żeby waszej winy nie było!

— Musiał tam Sapjo pokawić *, — już ja go znam! —■ rzekł Zagłoba.

[1] pokpić sprawę.

— Temu nie mogę negować! — mruknął, pod nosem Charłamp.

Tu umilkli na chwilę, jeno od czasu do czasu spoglądali na się ponuro, bo im się wydało, że szczęście Rzeczypospolitej psuć się na nowo poczyna, a przecie tak niedawno pełni byli ufności i nadziei.

Wtem Wołodyjowski rzekł:

— Pan kasztelan powraca!

I wyszedł z izby.

Kasztelan powracał rzeczywiście; Wołodyjowski wybiegł przeciw niemu i zdała począł wołać:

— Mości kasztelanie! Król szwedzki zgwałcił litewskie wojsko i z saku umknął. Jest tu towarzysz z listami od pana wojewody wileńskiego.

— Dawaj go sam!—krzyknął Czarniecki.— Gdzie on jest?

— U mnie. Zaraz go przystawię.

Lecz pan Czarniecki tak przyjął do serca wiadomość, że nie chciał czekać, jeno natychmiast zeskoczył z kul baki i wszedł do kwatery Wołodyjowskiego.

Porwali się z ław wszyscy, widząc go wchodzącego, on zaś zaledwie im głową skłonił, już rzekł:

— Proszę o listy!

Charłamp podał mu zapieczętowane pismo. Kasztelan poszedł z niem przed okno, bo w chałupie było ciemno, i począł je czytać ze

zmarszczoną brwią i troską w twarzy. Od czasu do czasu gniew błyskał mu w obliczu.

— Zalterował się pan kasztelan, — szeptał do Skrzetuskiego Zagłoba, — obacz, jak mu dzioby poczerwieniały; zaraz i szeplenić zacznie, co zawsze czyni, gdy go cholera chwyci.

Wtem pan Czarniecki skończył czytać, przez chwilę całą pięścią kręcił brodę i myślał, nakoniec ozwał się dźwiękliwym, niewyraźnym głosem:

— A pójdź-no tu bliżej, towarzyszu!

— Do usług waszej dostojności!

— Gadaj prawdę, — rzekł z przyciskiem kasztelan, — bo ta relacja tak misternie haftowana, iż rzeczy dojść nie mogę... Jeno... gadaj prawdę... nie koloryzuj: wojsko rozproszone?

— Nijak nie rozproszone, mości kasztelanie.

— A ile dni wam potrzeba, żebyście się znów zebrali?

Tu Zagłoba szepnął do Skrzetuskiego:

— Clice go, jak to mówią, z mańki zażyć.

Lecz Charłamp odpowiedział bez wahania:

— Skoro wojsko nie rozproszone, to mu się zbierać nie trzeba. Prawda jest, że pospolitaków z pięćset koni nie mogliśmy się doracliować, gdym odjeżdżał, których i pomiędzy poległymi nie było, ale to zwykła rzecz i kom-

put na tem nie cierpi, a nawet pan hetman ruszył za królem w dobrym porządku.

— Armat nie straciliście, mówisz, nic?

•— Owszem. Straciliśmy cztery, które Szwedzi, nie mogąc ich zabrać, zagwoździli.

—• Widzę, że prawdę mówisz; powiadaj tedy, jak się wszystko odbyło?

— Incipiam! — rzekł Charłamp. — Kiedyśmy to ostali sami, postrzegł się nieprzyjaciel, iże zawiślańskich wojsk niemasz, jeno partje i kupy niesforne na ich miejscu. Myśleliśmy, a właściwie mówiąc, pan Sapieha myślał, że na tamtych uderzą i jakie takie posiłki im ekspedjował, ale nieznaczne, by siebie nie osłabić. Tymczasem u Szwedów krętanina i szum, jakoby w ulu. Pod wieczór poczęli zbierać się tłumami do Sanu. Byliśmy w kwaterze wojewodzińskiej. Przyjeżdża ten pan Kmicic, który się Babiniczem teraz zowie, żołnierz przedni, i daje znać. A pan Sapieha właśnie do uczty zasiadał, na którą się siła szlachcianek aż z pod Kraśnika i Janowa najeżdżało... że to pan wojewoda lubi płeć białogłowską...

— I uczty lubi! — przerwał Czarniecki.

— Niemasz mnie przy nim, nie ma go kto do temperancji [1] nakłaniać! — przerwał Zagłoba.

Na to pan Czarniecki:

---

[1] umiarkowania.

•— Może prędzej będziesz waść przy nim, niż myślisz, zaczniecie się we dwóch temperować!

Tu zwrócił się do Cliarłampa:

— Mów dalej.

— Babinicz tedy daje znać, a wojewoda na to: „Symulują tylko, że chcą następować! Nie przedsięwezmą nic! Prędzej (powiada) przez Wisłę zechcą się przebierać, ale mam ja na nich oko i wtedy sam nastąpię. Tymczasem (powiada) nie psujmy sobie uciechy, żeby nam było dobrze!“ Poczynamy tedy jeść i pić. A i kapela poczyna rżnąć, sam wojewoda prosi do tańca...

— Dam ja mu tańce! — przerwał Zagłoba.

— Cicho waść! — rzekł Czarniecki.

— Wtem znów przylatują od brzegu, że szum okrutny. Nic to! Wojewoda pazia w ucho: „Będziesz mi tu lazł!“ Tańcowaliśmy do świtania, spaliśmy do południa. O południu patrzym, aż już szańce srogie stoją, a na nich ciężkie działa, kartauny 1. Dają też czasem ognia, a co kula padnie, to jak ceber! Jedna taka na nic oko zaprószy!

— Nie powiadaj konceptów, — przerwał Czarniecki, — boś nie u hetmana!

Charłamp zmieszał się mocno i tak dalej mówił:

— 0 południu wyjechał sam wojewoda,

[1] działa oblężnicze.

Szwedzi zaś pod osłoniłowycli szańców zaczęli stawiać most. Pracowali do wieczora, z wielkim naszym podziwem, bośmy byli tego mniemania, że zbudować go, zbudują, ale przejść po nim nie zdołają. Na drugi dzień jeszcze budują. Począł wojewoda sprawiać wojska, bo i sam już myślał, że będzie batalja.

— Tymczasem most był pozór, a przeszli poniżej przez inny, i z boku was zaszli? — przerwał Czarniecki.

Charłamp wytrzeszczył oczy, otworzył usta, przez cbwilę milczał zdumiony, nakoniec rzeki:

— To wasza dostojność miała już relację?

— Niema co! — szepnął Zagłoba — co wojny tyczy, nasz dziad wlot zgadnie, jakoby właśnie patrzył na sprawę!

— Mów dalej! — rzekł Czarniecki.

— Przyszedł wieczór. Wojska stały w gotowości, ale z pierwszą gwiazdą znowu była uczta. Tymczasem rano Szwedzi przeszli przez ów drugi most, który poniżej zbudowali, i zaraz nastąpili. Stała od krańca chorągiew pana Koszyca, żołnierza dobrego. Ten w nieb! Skoczą więc w pomoc pospolitacy, którzy byli najbliżej, ale kiedy to pluną do nieb z armat — w nogi! A pan Koszyc poległ i ludzi jego okrutnie naszarpano. Dopieroż pospolitacy, wpadłszy hurmem na obóz, wszystkich pomieszali. Co było gotowych chorągwi, to poszły, ale nie sprawiliśmy nic, jeszcześmy

armaty stracili. Gdyby więcej dział i piechoty było przy królu, sroga byłaby klęska, ale szczęściem większa część pieszych regimentów, wraz z armatami, odpłynęła nocą szmagami, o czem także nikt z nas nie wiedział.

— Sap jo pokawił! Zgóry wiedziałem! — zawołał Zagłoba.

— Przejęliśmy korespondencję królewską, rzekł Charłamp, — którą Szwedzi uronili. Czytali w niej żołnierze, że król do Prus ma iść, aby z elektorskimi nazad wrócić, gdyż, piszę, że samemi szwedzkiemi siłami nie da sobie rady.

— Wiem o tern, odrzekł Czarniecki, — pan Sapieha przysłał mi ten list.

Poczem mruknął cicho, jakoby sam do siebie mówiąc:



— Trzeba i nam za nim do Prus.

— Dawno to mówię! — rzekł Zagłoba.

Pan Czarniecki popatrzył nań przez chwilę w zamyśleniu.

— Nieszczęście! — rzekł głośno, — bo gdybym ja nadążył pod Sandomierz, tedybyśmy we dwóch z hetmanem żywej nogi nie puścili... Ha! stało się, i nie-wróci!... Wojna się przedłuży, ale taki teniu najazdowi i najezdnikom śmierć pisana.

— Nie może inaczej być!... — zawołali chórem rycerze.

I wielka otucha wstąpiła im do serc, choć przed chwilą wątpili.

Wtem szepnął coś Zagłoba do ucha panu dzierżawcy z Wąsoszy, a ów znikł we drzwiach i po chwili wrócił z gąsiorem. Widząc to Wołodyjowski, pochylił się do kolan kasztelanowi.

— Łaskaby to była dla prostaka żołnierza niepowszednia... — zaczął.

— Napiję się z wami chętnie, — rzekł Czarniecki, — a wiecie dlaczego? Owo dlatego, że nam się pożegnać przyjdzie.

— Jakże to? — zawołał zdumiony Wołodyjowski.

— Pisze pan Sapieha, że chorągiew laudańska do litewskiego wojska należy i że ją jeno dla asysty królowi przysłał, a teraz sam jej będzie potrzebował, zwłaszcza oficerów, bo mu ich brak okrutny. Mój Wołodyjowski, wiesz, ile cię miłuję, i ciężko mi się z tobą rozstawać, ale tu jest dla ciebie rozkaz. Wprawdzie pan Sapieha, jako człek polityczny, na moje ręce i do mojej dyskrecji rozkaz przysyła. Mógłbym ci go nie pokazać... Ba, ba, tak mi to miłe, jakoby mi pan hetman szablę najlepszą złamał... Ale właśnie, że do mojej dyskrecji przysłano, więc ci rozkaz daję — masz!... a już ozyń, coś powinien. Za zdrowie twoje, żołnierzyku!... •

Pan Wołodyjowski znów pochylił się do kasztelańskich kolan, ale tak był strapiony, że słowa przemówić nie mógł, a gdy kasztelan

wziął go w objęcia, łzy ciurkiem puściły mu się na żółte wąsiki.

— Wolejbym poległ! — zawołał żałośnie. —■ Gonić pod tobą, wodzu wielbiony, przywykłem, a tak niewiadomo, jako będzie...

— Pianie Michale, nie zważaj na rozkaz! — rzekł wzruszony Zagłoba. — Sam Sapjowi odpiszę i uszu mu przystojnie natrę.

Lecz pan Michał przedewszystkiem był żołnierzem, więc jeszcze się obruszył:

— A w waćpanu wiecznie stary wolentarz siedzi!... Milczałbyś lepiej, kiedy rzeczy nie rozumiesz. Służba!!

— Ot, co! —■ rzekł Czarniecki.

## ROZDZIAŁ V.

Pan Zagłoba, stanąwszy przed hetmanem, nie odpowiedział na radosne jego powitanie, owszem ręce wtył założył, wargę wysunął naprzód, i począł nań spoglądać jak sędzia sprawiedliwy, ale surowy. Ten zaś jeszcze się bardziej ucieszył, widząc ową minę, bo już się jakowejś krotofili spodziewał, i zaraz jął mówić:

— Jak się masz, stary francie? Cóż to tak nosem kręcisz, jakbyś jakowy niecnotliwy zapach wietrzył?

— W całem sapieżyńskiem wojsku bigos czuć!

— Czemu to bigos? powiadaj...

— Bo Szwedzi kapuścianych głów naszatkowali!

— Masz go! Już nam przymówił! Szkoda, że i waści nie usiekli!

— Bom pod takim wodzem służył, pod którym myśmy siekli, nie nas sieczono.

— Daj cię katu! żeby ci choć język obcięli !

— Nie miałbym czem sapieżyńskiej wiktorji głosić!

Na to posmutniał hetman i odrzekł:

— Panie bracie, zaniechaj mnie! Jest więcej takich, którzy już na moje służby ojczyźnie niepamiętni, zgoła mnie spostponowali, i wiem to, że jeszcze wiele się przeciw mej osobie uczyni hałasu, a przecie, żeby nie owa chasa [1] pospolitacka, inaczejby rzeczy pójść mogły. Powiadają, żem dla podkurków [2] nieprzyjaciela zaniedbał, ale przecie temu nieprzyjacielowi cała Rzeczpospolita oprzeć się nie mogła!

Wzruszył się nieco pan Zagłoba słowy hetmana i odrzekł:

— Taki to już u nas obyczaj, aby winę zawsze na wodza składać. Nie ja będę brał podkurki za złe, bo im dzień dłuższy, tem podkurek potrzebniejszy. Pan Czarniecki wielki wojennik, tę wszelako, wedle mojej głowy,

[1] zgraja, zbieranina. [2] przekąsek wieczornych.

ma przywarę, że wojsku na śniadanie, na obiad i na wieczerzę samą tylko szwedzinę daje. Lepszy on wódz, niż kuchta, ale źle robi, bo od takiej strawy wprędce wojna najlepszym kawalerom może zbrzydnąć.

— Bardzo-że pan Czarniecki przeciw mnie choleryzował? [1]

— 1!... niebardzo! Z początku wielką pokazał alterację, ale gdy się dowiedział, że wojska nie rozbite, zaraz powiada: „Wola Boska, nie ludzka moc! Nic to! (powiada) — każdemu zdarzy się przegrać; gdybyśmy samych (powiada) Sapiehów w ojczyźnie mieli, byłby to kraj Arystydesów“.

—• Dla pana Czarnieckiego krwibym nie skąpił! — odpowiedział hetman. — Każdy inny poniżałby mnie, aby siebie i własną sławę wywyższyć, zwłaszcza po świeżej wiktorji, ale on nie z takich.

— Nic i ja przeciw niemu nie powiem, jeno to, żem za stary na taką służbę, jakiej on od żołnierza wygląda, a zwłaszcza na owe kąpiele, jakie wojsku wyprawuje.

— Toś waść rad, żeś do Innie wrócił?

— 1 rad i nierad, bo o podkurku słucham od godziny, ale go jakoś nie widzę.

— Zaraz siądziemy do stołu. A co pan Czarniecki teraz przedsiębierze?

— Idzie do Wielkopolski, aby tamtym nie-

---

[1] unosił się, wygadywał.

bożątkom dopomóc, stamtąd zaś przeciw Steinbokowi ciągnie i do Prus, spodziewając się dostać od Gdańska armat i piechoty.

— Zacni obywatele Gdańszczanie. Całej Rzeczypospolitej przykładem świecą. To się z panem Czarnieckim pod Warszawą spotkamy, bo ja tam pociągnę, jeno się przedtem koło Lublina nieco zabawię.

— To Lublin znów Szwedzi obsadzili?

— Nieszczęsne miasto! Nie wiem już ile razy było w nieprzyjacielskich ręku. Jest tu deputacja od szlachty lubelskiej i zaraz przyjdzie z prośbą, bym ich ratował. Ale że mam listy do króla i do hetmanów ekspedjować, przeto muszą jeszcze poczekać.

— Do Lublina i ja chętnie pójdę, bo tam białogłowy nad miarę gładkie i rzęsiste. Kiedy to która, chleb krając, bochenek o się oprze, to nawet na nieczułym bochenku skóra od kontentacji czerwienieje.

— 0 Turku!

— Wasza dostojność, jako człek wiekowy, nie możesz tego wyrozumieć, ale ja co maj krew jeszcze muszę puszczać.

— Toć-żeś starszy ode mnie!

— Jeno eksperjencją, nie wiekiem, że zaś umiałem conservare juventutem m.eam [x], tego mi już niejeden zazdrościł. Pozwól mnie, wasza dostojność, przyjąć deputację lubelską,

---

[1] zachować swoją młodość.

a ja jej przyrzeknę, że zaraz idziemy w pomoc, niech się nieborakowie pocieszą, nim nieboraczki pocieszymy.

— Dobrze, — rzekł hetman, — a ja pójdę listy ekspedjować.

I wyszedł.

Zaraz potem wpuszczono deputację lubelską, którą pan Zagłoba przyjął z nadzwyczajną powagą i godnością, a pomoc przyrzekł pod warunkiem, że wojsko prowjantaini, zwłaszcza zaś wszelkim napitkiem obeślą. Poczem zaprosił ich imieniem wojewodzińskiem na wieczerzę. Oni radzi byli, bo wojska tejże jeszcze nocy ruszyły ku Lublinowi. Sam pan hetman pilił niezmiernie, bo mu chodziło o to, ażeby jakowąś przewagą wojenną pamięć sandomierskiej konfuzji zatrzeć.

Rozpoczęło się więc oblężenie, ale szło dość marudnie L Przez cały ten czas Kmicic uczył się u pana Wołodyjowskiego szablą robić i postępy czynił nadzwyczajne. Pan Michał też wiedząc, że to na Bogusławową szyję nauka, żadnych sekretów swej sztuki mu nie ukrywał. Często też miewali i lepszą praktykę; chodzili bowiem pod zamek wyzywać Szwedów na rękę, których wielu usiekli. Wkrótce Kmicic do tego doszedł, że z Janem Skrzetuskim mógł się narówni potykać, nikt zaś w całem wojsku sapieżyńskiem nie zdołał mu dotrzymać. Wów-

---

[1] opieszale.

czas taka chęć zmierzenia się z Bogusławem opanowała mu duszę, iż ledwie mógł wysiedzieć pod Lublinem, zwłaszcza, że wiosna wróciła mu siły i zdrowie. Rany pogoiły mu się wszystkie, przestał pluć krwią, krew grała w nim po dawnemu i ogień tryskał z oczu. Spoglądali na niego z początku zpodełba laudańscy ludzie, lecz nie śmieli nastawać, bo Wołodyjowski trzymał ich żelazną ręką, później też, patrząc na jego postępki i uczynki, pogodzili się z nim zupełnie, i sam najzacieklejszy jego wróg, Józwa Butrym, mawiał:

■— Umarł Kmicic, żywię Babinicz, a ten niech żywię!

Załoga lubelska poddała się wreszcie ku wielkiej uciesze wojska, zaczem ruszył pan Sapieha chorągwie ku Warszawie. Po drodze odebrał wiadomość, że sam Jan Kazimierz, wraz z hetmanami i nowem wojskiem przyjdzie mu w pomoc. Nadeszły też wieści i od Czarnieckiego, który także z Wielkopolski ku stolicy zdążał. Wojna rozproszona po całym kraju, skupiła się tak pod Warszawą, jak chmury rozproszone po niebieskim sklepie skupiają się i łączą, aby zrodzić burzę, grzmoty i błyskawice.

Szedł pan Sapieha na Żelechów, Garwolin i Mińsk do siedleckiego traktu, aby się w Mińsku z pospolitem ruszeniem podlaskiem połączyć. Jan Skrzetuski objął nad ową chasą komendę, bo chociaż w województwie lubel-

skiem mieszkał, ale że blisko granicy Podlasia, więc znany był wszystkiej szlachcie i wielce przez nią ceniony, jako jeden z najznamienitszych w Rzeczypospolitej rycerzy. Jakoż wprędce potrafił on zmienić bitną z natury tamtejszą szlachtę na chorągwie, w niczem komputowemu wojsku nie ustępujące.

Tymczasem zaś szli z Mińska ku Warszawie bardzo śpiesznie, aby jednym dniem pod Pragą stanąć. Pogoda sprzyjała pochodowi. Od czasu do czasu przelatywały majowe deszczyki, chłodząc ziemię i tłumiąc kurzawę, ale wogóle czas był cudny, ni zbyt gorący, ni zbyt zimny. Wzrok biegł daleko w przezroczystem powietrzu. Z Mińska szły wojska komunikiem, wozy bowiem i działa miały dopiero drugiego dnia za niemi wyruszyć; ochota panowała po pułkach niezmierna; gęste lasy, zalegające cały trakt, brzmiały echem pieśni żołnierskich, konie prychały na dobrą wróżbę. Chorągwie w sprawie [1] i w porządku płynęły jedna za drugą, jak rzeka migotliwa a potężna, bo przecie dwanaście tysięcy luda, bez pospolitaków, wiódł pan Sapieha. Rotmistrze oganiając pułki, świecili polerowanemi blachami. Kraśne znaki chwiały się nad głowami rycerstwa nakształt olbrzymich kwiatów.

---

[1] tu: w szyku.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy pierwsza, idąca w przodku chorągiew laudańska ujrzała wieże stolicy. Na ów widok, radosny okrzyk wyrwał się z piersi żołnierstwa:

— Warszawa! Warszawa!

Okrzyk ów przeleciał jak grzmot przez wszystkie chorągwie, i przez jakiś czas słychać hyło na pół mili drogi powtarzane ustawicznie słowo: „Warszawa! Warszawa!“

Wielu sapieżyńskicli rycerzy nie było nigdy w stolicy, wielu nigdy jej nie widziało, więc jej widok wywarł na nich wrażenie nadzwyczajne. Mimowoli wstrzymali wszyscy konie; niektórzy pozdejmowali czapki, inni poczęli się żegnać, niektórym łzy ciurkiem popłynęły z oczu i stali wzruszeni, milczący. Nagle pan Sapieha pojawił się na białym koniu od ostatnich zastępów i począł lecieć wzdłuż chorągwi.

— Mości panowie! — wołał donośnym głosem — my tu pierwsi, nam szczęście! nam honor!... Wyżeniem Szweda ze stolicy!!...

— Wyżeniem! — zawrzasło dwanaście tysięcy litewskich piersi. — Wyżeniem! wyżeniem! wyżeniem!

I stał się szum a huk. Jedni krzyczeli ciągle: „Wyżeniem!“ — drudzy już wołali: „Bij, kto cnotliwy!“ — inni: „W nich, psubratów!“ — Trzaskanie szablami mieszało się z krzykiem rycerzy. Oczy poczęły ciskać błyskawice, z pod srogich wąsów błyskały zęby.

Sam Sapieha spłonął jak pochodnia. Nagle buławę podliiósł w górę i krzyknął:

— Za mną!

W pobliżu Pragi wstrzymał pan wojewoda chorągwie i nakazał wolny pochód. Stolica wynurzała się coraz wyraziściej z sinawej oddali. Wieże rysowały się długą lin ją na błękicie. Spiętrzone dachy Starego Miasta, kryte czerwoną dachówką, płonęły w blaskach wieczornych. Nic wspanialszego nie widzieli nigdy w życiu Litwini nad owe mury białe i wyniosłe, poprzecinane mnóstwem wąskich okien, zwieszające się nakształt stromych wiszarów [1] nad wodą; domy zdawały się wyrastać jedne z drugich, wysoko i jeszcze wyżej; nad ową zaś zbitą i zacieśnioną masą tynów [2], ścian, okien, dachów, bodły niebo wieże strzeliste. Ci z żołnierzy, którzy już byli w stolicy, bądź na elekcji, bądź prywatnie, objaśniali innych, co który gmach znaczył i jakie nosił miano. Szczególnie Zagłoba, jako bywalec, uczył swoich laudańskich, oni zaś słuchali go pilnie, dziwiąc się jego słowom i samemu miastu.

— Patrzcie na ową wieżę w samym pośrodku Warszawy — mówił. — Oto arx regia! [3] Żebym tyle lat żył, ile obiadów tam u królewskiego stołu zjadłem, Matuzalabym [4] w kozi róg zapędził. Nie miał też król bliższego ode mnie konfidenta; mogłem wybierać

1 urwisk. 2 murów. 3 zamek królewski. 4 człowieka, który według Starego Testamentu żył około tysiąc lat.

między starostwami jako między orzechami, a rozdawać je tak łatwo, jak ufnale. Siła ludzi promowałem, a gdym wchodził, to senatores [1] w pas mi się kłaniali, po kozacku. Pojedynki też na oczach królewskich odbywałem, bo mnie lubił widzieć przy robocie, marszałek zaś rnusiał zamykać oczy.

— Srogi gmach! — rzekł Roch Kowalski.— I pomyśleć, że wszystko to ci psiajuchowie mają w ręku!

— I łupią okrutnie! — dodał Zagłoba. — Słyszę: kolumny nawet z murów wydzierają i do Szwecji wywożą, które są z marmurów i innych drogich kamieni. Nie poznam miłych kątów, a przecie słusznie rozmaici scriptores [2] zamek ów za ósmy cud świata uważają, bo oprócz tego ma król francuski zacny dworzec, ale kiep w porównaniu do tego!

— A owo, co to za druga wieża w pobliżu na prawo?

— To święty Jan. Jest z zamku do niego krużganek. W tym to kościele objawienie miałem, bo gdym raz po nieszporach przyzostał, słyszę głos od sklepienia: „Zagłoba, będzie wojna z takim synem, królem szwedzkim, i calamitates wielkie nastąpią!“ Ruszyłem co tchu do króla i powiadam, com słyszał, a tu ksiądz prymas pastorałem mnie w kark: „Nie powiadaj głupstw, pijany byłeś!“ Mają teraz...

---

[1] senatorowie. [2] pisarze.

Ten drugi kościół, zaraz tam obok, to jest Collegium Jesuitarum [1]; trzecia wieża opodal, to curia [2], owa czwarta w prawo, marszałkowska, a ów zielony dach, to Dominikanie; wszystkiego nie wymienię, choćbym językiem umiał obracać, jak szablą.

— Chyba niemasz takiego drugiego miasta na świecie! — zawołał jeden z żołnierzy.

— Dlatego też wszystkie nacje nam go zazdroszczą.

— A ów cudny gmach na lewo od zamku?

— Za Bernardynami?

— Tak jest.

— To pallatium Radziejowskianum [3], dawniej Kazanowskich. Uważają go za dziewiąty cud świata, ale zaraza na niego, bo w tych to murach zaczęło się nieszczęście Rzeczypospolitej.

— Jakże to? — spytało kilka głosów.

— Bo jak się wziął pan podkanclerzy Radziejowski z żoną wadzić i wojować, tak król się za nią ujął. Wiecie waćpanowie, co o tern ludzie mówili, a to pewno, że i sam podkanclerzy myślał, że mu się żona w królu kocha, a król w niej; zaczem przez invidię do Szwedów uciekł i wojna się rozpoczęła. Coprawda, siedziałem wtedy na wsi i końca owej sprawy nie widziałem, jeno z relacji, ale to wiem, że ona nie do króla, tylko do kogo innego

[1] szkoła jezuicka przy klasztorze. [2] ratusz. [3] pałac Radziejowskich.

przedtem słodkie oczy, jak marcepan, robiła.

— Do kogo?

Zagłoba pokręcił wąsa.

— Do tego, do którego i wszystkie, jako mrówki do miodu, lazły, jeno mi się nazwiska nie godzi mówić, gdyż zawsze brzydziłem się chełpliwością... Przytem zestarzał się człek, zestarzał, zdarł się, jako miotła, zamiatając nieprzyjaciół ojczyzny, ale niegdyś nie było większego nade mnie gładysza i dworaka, niech Roch Kowalski przyświad...

Tu spostrzegł się pan Zagłoba, że Roch żadną miarą owych czasów pamiętać nie może, więc tylko ręką machnął i rzekł:

— Wreszcie, co on tam wie!

Poczem pokazał jeszcze towarzyszom pałac Ossolińskich i Koniecpolskich, który ogromem prawie Radziejowskiemu był równy, wreszcie wspaniałą villa regia i, a wtem słońce zaszło i mrok nocny począł nasycać powietrze.

Huk działa rozległ się na muracłi warszawskich i trąby ozwały się długo i przeciągle, na znak, iż nieprzyjaciel się zbliża.

Pan Sapieha oznajmił też swoje przybycie palbą z samopałów, aby ducha mieszkańcom dodać, poczem tejże jeszcze nocy począł przeprawiać wojsko za Wisłę. Przeprawiła się

---

[1] letni pałac królewski.

więc pierwsza laudańska, za nią pana Kotwiczą, za nią Tatarzy Kmicicowi, za nią Wańkowiczowa, za nią ośm tysięcy ludzi. W ten sposób byli zarazem Szwedzi, wraz z nagromadzonym łupem, otoczeni i pozbawieni dowozu, panu Sapieże zaś nie pozostawało nic więcej, jak czekać, póki z jednej strony pan Czarniecki, z drugiej król, wraz z koronnymi hetmany, nie przyciągnie, tymczasem zaś pilnować, aby się jakowe posiłki do miasta nie przekradły.

Pierwsze wieści przyszły od pana Czarnieckiego, ale niezbyt pomyślne, donosił bowiem, że wojsko i konie tak strudzone, iż w tej chwili nie może żadnego w oblężeniu wziąć udziału. Od czasu bitwy pod Warką dzień w dzień był w ogniu, a od pierwszych miesięcy roku stoczył dwadzieścia jeden większych bitew ze Szwedami, nie licząc podjazdowych utarczek i napadów na mniejsze oddziały. Piechoty na Pomorzu nie dostał, do Gdańska dotrzeć nie mógł; obiecywał, co najwięcej, trzymać resztą sił w szachu tę armję szwedzką, która pod Radziwiłłem, pod bratem królewskim i Duglasem stojąc u Narwi, przemyśliwała, jakoby oblężonym przyjść w pomoc.

Zaś Szwedzi gotowali się do obrony z właściwem sobie męstwem i biegłością. Jeszcze przed przyjściem pana Sapiehy spalono Pragę, obecnie poczęli ciskać granaty na wszyst-

kie przedmieścia, jako na Krakowskie, Nowy Świat, a z drugiej strony na kościół św. Jerzego i Pannę Marję. Płonęły tedy domostwa, gmachy i kościoły. W dzień dymy wiły się nad miastem, nakształt chmur gęstych i czarnych. W noc owe chmury stawały się czerwone i snopy iskier wybuchały z nich ku niebu. Za murami błąkały się tłumy mieszkańców bez dachu nad głową, bez chleba, niewiasty otaczały sapieżyński obóz z płaczem o miłosierdzie; widziano ludzi uschniętych z głodu na szczypki, widziano dzieci, umierające z braku pokarmu, w objęciach wychudłych matek; okolica zmieniła się w padół łez i nędzy.

Pan Sapieha, nie mając piechoty, ni dział, czekał i czekał na nadejście króla, tymczasem przychodzić, ile mógł, w pomoc ubogim, rozsyłając ich partjami w mniej zniszczone okolice, w których jako tako mogli się wyżywić. Troskał się też niemało w przewidywaniu trudności oblężenia, gdyż uczeni inżynierowie szwedzcy zmienili Warszawę w potężną twierdzę. Za murami siedziało trzy tysiące wyćwiczonego żołnierza, dowodzonego przez biegłych i doświadczonych jenerałów, wogóle zaś Szwedzi uchodzili za mistrzów w oblężeniu i obronie wszelkich fortec. Na ową więc troskę wyprawiał sobie pan Sapieha codzień uczty, w czasie których krążyły gęsto kielichy, miał bowiem ów zacny obywatel i niepospo-

lity wojownik tę przywarę, iż wesołą kompanję i brząkanie szkłem nad wszystko nawidził, często nawet służby dla uciechy zaniedbując.

Dzienną natomiast przezornością wieczorną folgę wynagradzał. Do zachodu słońca pracował szczerze, wysyłał podjazdy, ekspedjował listy, sam objeżdżał straże, sam przesłuchiwał schwytanych języków, natomiast z pierwszą gwiazdą często i skrzypki odzywały się w jego kwaterze. A gdy raz się rozochocił, to już na wszystko pozwalał, sam nawet posyłał po oficerów, choćby straży pilnujących, albo na podjazd wyznaczonych, i krzyw był, jeżeli który się nie stawił, gdyż nie było dlań uczty bez ciasnoty. Przymawiał mu za to rankami mocno pan Zagłoba, ale wieczorami często samego czeladź bez duszy do kwatery Wołodyjowskiego odnosiła.

— Świętegoby Sapjo do upadku przywiódł, — tłumaczył się na drugi dzień przyjaciołom, — a cóż dopiero mnie, którym zawsze igraszki miłował. Jeszcze ma szczególniejszą jakąś pasję kielichy we mnie wmuszać, ja zaś, nie chcąc się grubijaninem okazać, ustępuję przed przynuką [1], bo zawsze to obserwowałem, żeby gospodarzowi nie uchybiać. Alem już ślubował, że na przyszły adwent każę sobie grzbiet dyscypliną dobrze smaro-

---

[1] natrętnem zapraszaniem do jedzenia i picia.

wać, bo sam to rozumiem, że swawola bez pokuty zostać nie może; tymczasem muszę mu już dotrzymywać, a to z obawy, aby w gorsze jakie nie wpadł kompanje i doreszty sobie nie folgował.

Byli tacy oficerowie, którzy i bez dozoru hetmańskiego służbę pełnili, ale niektórzy zaniedbywali się wieczorami srodze, jako zwyczajnie żołnierze, ręki żelaznej nad sobą nie czujący.

Nie omieszkał korzystać z tego nieprzyjaciel.

Pewnego razu, na parę dni przed nadciągnięciem króla i hetmanów, Sapieha wyprawił wspanialszą, niż kiedykolwiek ochotę[x], już był bowiem rad, że się wszystkie wojska w kupę zbierają i oblężenie rozpocznie się na dobre. Wszyscy znakomitsi oficerowie byli proszeni; pan hetman, szukający zawsze okazji, rozgłosił, iż to na cześć królewską owa uczta się odbędzie. Do panów Skrzetuskich, Kmicica, Zagłoby, Wołodyjowskiego i Charłampa przyszedł nawet umyślny ordynans, aby koniecznie byli, gdyż hetman za wielkie usługi chce ich szczególnie uczcić. Pan Andrzej siadał już na koń, aby z podjazdem wyruszyć, tak, iż ordynansowy oficer zastał już jego Tatarów za bramą.

— Nie możesz, wasza miłość, panu hetma-

[1] biesiadę.

nowi tej ujmy okazać i niewdzięczności;} za serce zapłacić — rzekł oficer.

Kmicic zsiadł z konia i poszedł naradzić się z towarzyszami.

— Okrutnie mi to nie na rękę! — rzekł. — Słyszałem, że jakiś znaczny oddział jazdy wedle Babic się ukazał. Samże hetman kazał mi jechać i koniecznie dowiedzieć się, co to za żołnierze, a teraz na ucztę prosi? Co mam czynić?

— Pan hetman przysyła rozkaz, aby z podjazdem Akbah-Ułan poszedł — odparł ordyrjansowy.

— Rozkaz, to rozkaz! — rzekł Zagłoba — a kto żołnierz, ten słuchać musi. Waćpan strzeż się, aby złego przykładu nie dawać, a przytem niedobrzeby było dla waćpana ściągnąć na się nieżyczliwość hetmańską.

— Powiedz waść, że się stawię! — rzekł do ordynansowego Kmicic.

Oficer wyszedł. Za nim odjechali pod Akbah-Ułanem Tatarzy, a pan Andrzej począł się nieco stroić, w czasie zaś ubierania tak mówił do towarzyszów:

— Dziś jest uczta na cześć króla jegomości; jutro będzie na cześć iclimościów panów hetmanów koronnych — i tak aż do końca oblężenia.

— Niech jeno król nadciągnie, skończy się to, — odpowiedział Wołodyjowski, — bo chociaż i nasz pan miłościwy lubi się także we

wszelakim frasunku pocieszyć, ale przecie służba musi pójść pilniej, ile że każdy, a między innymi i pan Sapieha, będzie się starał gorliwość swoją okazać.

— Za dużo tego, za dużo! niema i gadania! — rzekł Jan Skrzetuski. — Czy wam to nie dziwno, że tak przezorny i pracowity wódz, lak cnotliwy człowiek, tak godny obywatel ma tę słabość?

— Niech jeno wieczór się uczyni, inny to zaraz człowiek i z wielkiego hetmana w hulakę się przemienia.

— A wiecie, czemu mi tak uczty nie w smak? — ozwał się Kmicic. — Bo i Janusz Radziwiłł miał ten zwyczaj, że je co wieczora wyprawiał. Imainujcie sobie, że się tak jakoś dziwnie składało, że co uczta, to się albo nieszczęście jakoweś trafiało, albo zła nowina spadła, albo się nowa hetmańska zdrada wykrywała. Nie wiem, czyli ślepy traf, czyli zrządzenie Boskie, dość, że złe nigdy nie przychodziło kiedyindziej, jeno w czasie uczty. To mówię wam, że wkońcu do tego doszło, że jak tylko do stołów nakrywali, to aż skóra na nas cierpła.

— Prawda, jak mi Bóg miły! — rzekł Charłamp. — Ale było to i z tego, że książę hetman zawsze tę porę do promulgowania swych praktyk z nieprzyjacielem ojczyzny wybierał.

— No! — ozwał się Zagłoba. — Przynajmniej ze strony poczciwego Sapja nie mamy

6ię czego obawiać. Jeśli on kiedy zdradzi, to ja tyle wart, co wichlarze[1] u moich butów.'

— O tem i niema mowy! Zacny to pan, jako chleb bez zakalca! [2] — zawołał Wołodyjowski.

— A czego wieczorem zaniedba, to w dzień naprawi ■— dodał Charłamp.

— To już wreszcie chodźmy, — rzekł Zagłoba, — bo prawdę rzekłszy, vacuum [3] w brzuchu czuję.

Wyszli, siedli na konie i pojechali, gdyż pan Sapieha stał w innej stronie za miastem i było dość daleko. Przybywszy przed hetmańską kwaterę, znaleźli już mnóstwo koni na podwórcu i ścisk trzymających je pachołków, dla których też stała kufa piwa na majdanie, a którzy, jako zwykle, pijąc bez miary, zaczęli się już wadzić przy niej; uciszyli się jednak na widok nadjeżdżających rycerzy, zwłaszcza, że pan Zagłoba począł okładać płazem tych, którzy mu na drodze stali, wołając stentorowym głosem:

— Do koni, hultaje! do koni! Nie was tu na ucztę proszono!

Pan Sapieha przyjął towarzyszów, jak zwykle, z otwartemi rękoma, a że był sobie już nieco podchmielił, przepijając do gości, począł się zaraz z Zagłobą przekomarzać.

---

[1] przednie części cholew. [2] ciasta niewypieczonego. [3] próżnię.

— Czołem, panie regimentarzu! — rzeki mu.

— Czołem, panie kiper [1] — odparł Zagłoba.

— Kiedy mnie kiprem zowiesz, to ci dam takiego wina, które jeszcze robi! [2]

— Byle nie takiego, które z hetmana robi bibosza!

Niektórzy z gości, słysząc to, zlękli się, lecz pan Zagłoba, gdy widział[1] hetmana w dobrym humorze, na wszystko sobie pozwalał, Sapieha zaś taką miał do niego słabość, iż nietylko się nie gniewał, ale za boki się brał, powołując przytem na świadków obecnych, co to go od tego szlachcica spotyka.

Rozpoczęła się tedy uczta gwarna, wesoła. Sam pan Sapieha przepijał raz po raz do gości, to wznosił toasty na cześć króla, hetmanów, wojsk obojga narodów, pana Czarnieckiego i całej Rzeczypospolitej. Ochota rosła, a z nią gwar i szum. Od toastów przyszło do pieśni. Izba zapełniła się oparem ze łbów i wyziewami miodów i win. Z za okien nie mniejszy dochodził hałas, a nawet szczękanie żelaza. To czeladź poczęła się bić szablami. Wypadło na dwór kilku szlachty, by ład przywrócić, lecz większe tylko uczyniło się zamieszanie.

Nagle krzyk powstał tak wielki, że aż ucztujący w izbie umilkli.

— Co to jest? — spytał któryś z pułkow-

---

[1] zarządzający piwnicą. [2] fermentuje, burzy się.

ników. — Pachołkowie nie mogą takiego wrzasku czynić!

— Cicho-no, mości panowie! — rzekł, nasłuchując zaniepokojony hetman.

— To niezwykłe okrzyki!

Nagle wszystkie okna zadrżały od huku dział i muszkietowej palby.

— Wycieczka! — krzyknął Wołodyjowski — nieprzyjaciel następuje!

—- Do koni! do szabel!

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ciżba stała się przy drzwiach, następnie tłum oficerów wypadł na majdan, nawołując na pachołków, by im podawali konie.

Lecz w zamęcie niełatwo było każdemu do swego trafić, tymczasem z za majdanu głosy trwożne poczęły wołać w ciemności:

— Nieprzyjaciel nastąpił! Pan Kotwicz w ogniu!

Ruszyli tedy wszyscy, co tchu w koniach, do swych chorągwi, skacząc przez płoty i łamiąc karki w ciemności. A tam już larum poczęło się w całym obozie. Nie wszystkie chorągwie miały konie pod ręką i te najpierwsze wszczęły zamieszanie. Tłumy żołnierstwa pieszego i konnego tłoczyły się na siebie wzajem, nie mogąc przyjść do sprawy, nie wiedząc kto swój, kto nieprzyjaciel, krzycząc i hałasując wśród nocy ciemnej. Niektórzy poczęli już wołać, że to król szwedzki z całą armją następuje.

Tymczasem wycieczka szwedzka uderzyła istotnie z gwałtownym zapędem na Kotwiczowych ludzi. Na szczęście, sam, chorym nieco będąc, nie był na uczcie i dlatego mógł dać jaki taki odpór narazie, — jednak niedługotrwały, bo napadnięto go przeważną liczbą i zasypywano ogniem muszkietowym, więc cofać się rnusiał.

Pierwszy Oskierka przybył mu w pomoc ze spieszoną dragonją. Na strzały poczęto odpowiadać strzałami. Lecz dragonja Oskierkowa również nie mogła wytrzymać naporu i w mig, usławszy pole trupami, poczęła ściągać się z pola wtył coraz pośpieszniej. Dwa razy próbował Oskierka stanąć w sprawie, i po dwakroć rozbito go tak, iż żołnierze jego kupkami jeno mogli się odstrzeliwać. Wreszcie rozsypali się zupełnie, a Szwedzi parli, jak niepowstrzymany potok, ku hetmańskiej kwaterze. Coraz nowe pułki wychodziły z miasta w pole; z piechurami szła jazda, wytaczano nawet działa połowę. Zanosiło się na walną bitwę i zdawało się, że nieprzyjaciel jej pragnie.

Tymczasem Wołodyjowski, wypadłszy z kwatery hetmańskiej, spotkał już w pół drogi swą chorągiew idącą na odgłos alarmu i wystrzałów, bo była zawsze w gotowości. Wiódł ją teraz Roch Kowalski, który również, jak pan Kotwicz, na uczcie nie był, ale z tego powodu, że go na nią nie zaproszono. Woło-

dyjowski kazał co duchu zapalić parę szop, by pole oświetlić i pomknął ku bitwie. Po drodze przyłączył się doń Kmicic ze swymi strasznymi wolentarzami i tą połową Tatarów, która na podjazd nie poszła. Obaj przybyli w samą porę, aby Kotwiczą i Oskierkę od zupełnej klęski uratować.

Tymczasem szopy rozpaliły się już tak dobrze, że widno było, jak w dzień. Przy tym blasku uderzyli laudańscy z pomocą Kmicica na pułk piechurów i wytrzymawszy ogień, wzięli ich na szable. Skoczyła swoim w pomoc rajtarja szwedzka i zwarła się z laudańskimi potężnie. Przez pewien czas przepierali się, zupełnie jak zapaśnicy, którzy chwyciwszy się za bary, dobywają ostatnich sił i coraz to ten tego, to tamten owego przechyli; lecz tak gęsty trup jął lecieć u Szwedów, że wreszcie poczęli się mieszać. Kmicic rzucał się okropnie w gęstwie ze swymi zabijakami, pan Wołodyjowski pustkę, jako zwykle, przed sobą szerzył; obok niego pracowali krwawo dwaj olbrzymi Skrzetuscy i Charłamp i Roch Kowalski; laudańscy siekli na wyścigi z Kmicicowymi zabijakami, jedni pokrzykując przeraźliwie, inni, jako naprzykład Butrymowie, waląc kupą a w milczeniu.

Przełamanym Szwedom znów skoczyły na ratunek nowe pułki, a Wołodyjowskiego i Kmicica wsparł Wańkowicz, który blisko nich kwaterami stojąc, wkrótce po nich był

gotów. Wreszcie przyprowadził pan hetman wszystko wojsko do sprawy i począł porządnie następować. Sroga bitwa zawrzała na całej linji od Mokotowa aż ku Wiśle.

Wtem Akbali-Ułan, który jeździł z podjazdem, pojawił się na spienionym koniu przed hetmanem.

•— Effendi! [1] — krzyknął, — czambuł jazdy idzie od Babic ku miastu i wozy wiodą; chcą się za mury dostać!

Sapieha zrozumiał w jednej chwili, co znaczyła owa wycieczka w stronę Mokotowa. Oto nieprzyjaciel chciał odciągnąć wojska, stojące na trakcie błońskim, aby owa posiłkowa jazda i wozy z żywnością mogły się dostać w obręb murów.

— Ruszaj do Wołodyjowskiego! — krzyknął na Akbah-Ułana, — niech laudańska, Kmicic i Wańkowicz przebiegną im drogę, zaraz im pomoc wyślę!

Akbah-Ułan wspiął konia, za nim poleciał drugi i trzeci ordynans. Wszyscy dopadli Wołodyjowskiego i powtórzyli mu rozkaz hetmański.

Wołodyjowski zwrócił natychmiast chorągwie, Kmicic z Tatarami dognał go, idąc naprzełaj, i pomknęli razem, a Wańkowicz za nimi.

Lecz przybyli za późno. Blisko dwieście wo-

---

[1] panie!

zów wjeżdżało już w bramę, idący zaś za niemi świetny oddział ciężkiej jazdy, był już prawie cały w promieniu fortecznym. Tylko tylna straż, złożona z około stu ludzi, nie nadążyła jeszcze pod osłonę dział. Ale i ci szli całym pędem. Oficer, jadący ztyłu, przynaglał ich jeszcze krzykiem.

Kmicic, ujrzawszy ich przy blasku płonących szop, wydał krzyk przeraźliwy i straszny, że aż konie spłoszyły się obok; poznał Bogusławową rajtarję, tę samą, która przejechała po nim i po jego Tatarach pod Janowem.

I niepomny na nic, rzucił się jak szalony ku nim, wyprzedził swoich własnych ludzi i wpadł pierwszy naoślep między szeregi. Szczęściem dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damjan, siedzący na przednich koniach, wpadli tuż za nim. W tej chwili Wołodyjowski przesunął się ukosem, jak błyskawica i tym jednym ruchem odciął tylną straż od głównego oddziału.

Działa z murów poczęły grzmieć, lecz główny oddział, poświęciwszy swych towarzyszów, wpadł co prędzej za wozami do twierdzy. Wówczas laudańscy i Kmicicowi opasali pierścieniem ową tylną straż i rozpoczęła się rzeź bez miłosierdzia.

Lecz krótko trwała. Bogusławowi ludzie, widząc, że niemasz znikąd ratunku, w mgnieniu oka przeskakiwali z koni i rzucili broń pod

nogi, krzycząc wniebogłosy, aby ich dosłyszano w ciżbie i gwarze, że się poddają.

Nie zważali na to wolentarze, ni Tatarzy, i siekli dalej, lecz w tejże chwili rozległ się groźny, a przeraźliwy głos Wołodyjowskiego, któremu chodziło o języka:

— Żywych brać! Gas! [1] gas! żywych brać!

— Żywych brać! — zakrzyknął Kmicic.

Zgrzyt żelaza ustał. Rozkazano teraz troczyć [2] jeńców Tatarom, którzy z właściwą sobie wprawą uczynili to w mgnieniu oka, poczem chorągwie cofnęły się śpiesznie z pod działowego ognia.

Pułkownicy skierowali się ku szopom. Laudańska szła naprzód, Wańkowiczowi ztyłu, a Kmicic z jeńcami w pośrodku, — wszyscy w zupełnej gotowości, aby napad, jeżeliby się zdarzył, odeprzeć. Jeńców prowadzili Tatarzy na smyczach, inni powodowali zdobyczne konie. Kmicic, zbliżywszy się do szop, bacznie spoglądał w twarze jeńców, czy Bogusławowej między niemi nie zobaczy, bo chociaż mu już jeden z rajtarów pod sztychem zaprzysiągł, że księcia samego nie było w oddziale, jednak jeszcze myślał, że nuż umyślnie tają.

---

[1] tu: w znaczeniu łapać! [2] przywiązywać za koniec Sznura do siodłą.

Wtem jakiś głos z pod strzemienia tatarskiego zawołał nań:

— Panie Kmicic! panie pułkowniku! Ratuj znajomego! Każ mnie puścić ze sznura na parol.

— Hassling! — zakrzyknął Kmicic.

Hassling był to Szkot, niegdyś oficer rajŁarji księcia wojewody wileńskiego, którego Kmicic znał w Kiejdanach i swego czasu bardzo lubił.

—- Puść jeńca! — zakrzyknął na Tatara —• i sam precz z konia!

Tatar skoczył z kulbaki, jakby go wiatr zmiótł, bo wiedział jak niebezpiecznie marudzić, gdy „bagadyr“ rozkazuje.

Hassling, postękując, wdrapał się na wysokie siedzenie ordyńca.

Wtem Kmicic chwycił go powyżej dłoni i gniotąc mu rękę tak, jakby chciał ją zdruzgotać, począł pytać natarczywie:

— Skąd jedziecie? Wraz powiadaj, skąd jedziecie? Na Boga, śpiesz się!

— Z Taurogów! — odparł oficer.

Kmicic pocisnął go jeszcze silniej.

— A... Billewiczówna... tam jest?

— Jest!!...

Pan Andrzej mówił coraz trudniej, bo coraz mocniej zaciskał zęby.

■— I... co książę z nią uczynił?

— Nic nie wskórał.

Nastało milczenie, po chwili Kmicic zdjął

rysi kołpaczek, pociągnął ręką po czole i ozwał się:

— Zacięto mnie w spotkaniu, krew mi idzie i zesłabłem...

## ROZDZIAŁ VI.

Wycieczka szwedzka w części tylko dopięła celu, gdyż oddział Bogusławowy wszedł do miasta; natomiast sama nie dokazała wielkich rzeczy. Wprawdzie chorągiew pana Kotwiczą i Oskierczyna dragonja silnie ucierpiały, lecz i Szwedzi gęstym trupem zasłali pole, a nawet jeden pułk piechoty, na który wpadł Wołodyjowski z Wańkowiczem, całkiem niemal został zniesiony. Chlubili się nawet Litwini, że większe straty zadali nieprzyjacielowi, niż sami ponieśli, jeden tylko pan Sapieha trapił się wewnętrznie, że nowa spotkała go „konfuzja“, od której sława jego wielce może ucierpieć. Przywiązani do niego pułkownicy pocieszali go, jak mogli, i prawdę rzekłszy, istotnie wyszła mu na pożytek ta nauka, albowiem odtąd nie bywało już uczt tak zapamiętałych, a jeżeli zdarzyła się jakowaś ochota, to właśnie w czasie niej rozwijano największą czujność. Złapali się Szwedzi zaraz nazajutrz, przypuszczając bowiem, że hetman nie będzie się spodziewał, by w tak krótkim terminie powtórzyła się wycieczka, wyszli znów

za mury, lecz z miejsca odbici, zostawiwszy kilku poległych, wrócili nazad.

Tymczasem badano w kwaterze hetmańskiej Hasslinga, co niecierpliwiło tak pana Andrzeja, iż mało ze skóry nie wyskoczył, chciał bowiem jak najprędzej mieć go u siebie i rozgadać się o Taurogach. Cały dzień więc krążył koło kwatery, co chwila wchodził do środka, słuchał zeznań, i aż podnosił się na ławie, gdy w badaniach wspominano imię Bogusława.

Zaś wieczorem odebrał rozkaz, aby na podjazd ruszył. Nie rzekł na to nic, zęby tylko zacisnął, bo się już był bardzo zmienił i nauczył się prywatę dla służby publicznej odkładać. Tatarów tylko srodze w czasie podjazdu gnębił i o lada co gniewem wybuchając, buzdyganem tak walił, że aż kości trzeszczały. A ci mówili między sobą, że „bagadyr“ się wściekł, i szli cicho, jak trusie, w oczy tylko groźnemu przywódcy patrząc i myśli wlot zgadując.

Wróciwszy, zastał już Hasslinga u siebie, ale tak chorego, że mówić nie mógł, bo przecie, biorąc go w niewolę, poturbowano go srodze, tak, iż teraz po całym dniu badań w dodatku, miał gorączkę i pytań nawet nie rozumiał. Musiał się więc Kmicic kontentować tern, co mu pan Zagłoba o Hasslingowych zeznaniach powiadał; ale to tyczyło spraw publicznych, nie prywatnych. O Bogusławie zeznał młody oficer tylko tyle, że po powrocie z wyprawy

na Podlasie i po klęsce janowskiej chorzał srodze. Z cholery i melancholji w gorączkę wpadał, a przyszedłszy nieco do zdrowia, zaraz z wojskiem na Pomorze wyruszył, dokąd go Steinbok i elektor jak najpilniej wzywali.

— A teraz, gdzie on jest? — pytał Kmicic.

—■ Wedle tego, co Hassling powiada, a nie miał potrzeby łgać, teraz z bratem królewskim stoją w warownym obozie u Narwi i Buga, gdzie Bogusław całą jazdą dowodzi — odrzekł Zagłoba.

— Ha! I myślą tu na odsiecz przyjść. To się spotkamy, jako Bóg na niebie, choćbym w przebraniu miał do niego pójść!

— Nie choleryzuj waść napróżno! Do Warszawy oniby na odsiecz radzi, ale nie mogą, bo im się pan Czarniecki położył na drodze, i ot, co się dzieje: on, nie mając piechot, ni dział, nie może na obóz uderzyć, oni zaś boją się do niego wyjść, bo przekonali się, że w golem polu ich żołnierz czarniecczykom nie wytrzyma. Wiedzą też, że i rzeką nie pomoże się zastawiać. Ba, żeby tam sam król był, toby dał pole, bo pod jego komendą i żołnierz lepiej się bije, dufając, że to wojownik wielki, ale Duglas, ani brat królewski, ani książę Bogusław, chociaż to wszyscy trzej rezoluci, przecie się nie odważą!

— A gdzie król?

— Poszedł do Prus. Król nie wierzy, żebyśmy się już na Warszawę i Wittemberga po-

rwać mieli. Zresztą, wierzy, czy nie wierzy, rnusiał tam iść z dwóch powodów: raz, żeby elektora ostatecznie spraktykować, choćby za cenę całej Wielkopolski, a po wtóre: że to wojsko, które z saku wyprowadził, póki nie wypocznie, to na nic. Trudy i niewywczasy a ciągłe alarmy tak ich zjadły, iż już żołnierze muszkietów w ręku utrzymać nie mogą, a przecie najwybrańsze to pułki z całej armji, które po wszystkich niemieckich i duńskich krainach znamienite wiktorje odnosiły.

Dalszą rozmowę przerwało wejście pana Wołodyjowskiego.

— Jak się ma Hassling? — spytał zaraz w progu.

— Chory, i trzy po trzy imaginuje! [1] — odparł Kmicic.

— A ty czego, Michałku, od Hasslinga chcesz? — ozwał się Zagłoba.

— Niby to waćpan nie wiesz?

— Jażbym nie miał wiedzieć, że ci o ową wiśnię chodzi, którą książę Bogusław w swoim ogródku zasadził. Gorliwy to ogrodnik, nie bój się! Nie potrzeba mu i roku, żeby się owoców doczekał.

— Bodaj waści zabito cza taką pociechę! — krzyknął mały rycerz.

— Patrzcie go: powiedzieć mu najniewinniejszy jocus [2], to zaraz wąsikami rusza, jak

[1] tu: bredzi. [2] żart.

wściekły chrabąszcz! Com ci winien? Na Bogusławie szukaj pomsty, nie na mnie!

— Da Bóg poszukam i znajdę!

— Dopiero co to samo Babinicz powiadał! Niezadługo, widzę, całe wojsko się na niego sprzysięże; ale strzeże on się dobrze i bez moich fortelów nie dacie sobie rady!

Tu obaj młodzi zerwali się na równe nogi.

— Maszże waść jaki fortel?

— A wy myślicie, że fortel tak łatwo z głowy wyjąć, jak szablę z pochwy? Gdyby Bogusław był tuż, pewnobym znalazł niejeden, ale na tę odległość, nietylko fortel, ale i armata nie doniesie. Panie Andrzeju, każ mi dać kubek miodu, bo dziś gorąco.

— Dam i kufę, byłeś waćpan co wymyślił!

—• Naprzód, czego wy nad tym Hasslingiem, jak kat nad dobrą duszą stoicie! Nie jego jednego wzięto w niewolę, możecie się innych wypytać.

—• Jużem ci ja tamtych brał na pytki, ale to gemajny; nie wiedzą nic, a on, jako oficer, był przy dworze — odrzekł Kmicic.

— To i racja! — odpowiedział Zagłoba. — Ja też muszę się z nim rozgadać; od tego, co mi powie o osobie i obyczajach księcia, mogą i fortele zależeć. Teraz grunt, żeby się to oblężenie prędko skończyło, bo potem pewno przeciw tamtej armji ruszymy. Ale coś naszego pana miłościwego i hetmanów długo nie widać!

— Jakże? — odrzekł mały rycerz. — W tej chwili wracam od hetmana, który dopiero co odebrał wiadomość, że król jegomość jeszcze dziś wieczorem z przybocznemi chorągwiami tu stanie, a hetmani z komputem jutro nadciągną. Od samego Sokala szli, mało co wypoczywając, wielkie pochody czyniąc. Przecie zresztą już od paru dni wiadomo, że tylko co ich nie widać.

— A wojska siła ze sobą prowadzą?

— Blisko pięć razy tyle, co przy panu Sapieże, piechoty ruskie i węgierskie, bardzo przednie; idzie i sześć tysięcy ordy pod Supanhazym, ale podobnoć nie można ich na dzień z pod ręki puścić, bo bardzo swawolą i krzywdy naokoło czynią.

— Pana Andrzejaby im na przywódcę dać! — rzekł Zagłoba.

— Ba! — odparł Kmicic. — Zarazbym ich z pod Warszawy wyprowadził, bo oni w oblężeniu na nic, i powiódłbym ich do Buga i Narwi.

— Na nic, nie na nic, — odrzekł Wołodyjowski, — gdyż nikt lepiej nie upilnuje, aby żywność do fortecy nie przychodziła.

— No, będzie Wittembergowi ciepło! Postój, stary złodzieju! — zawołał Zagłoba. — Wojowałeś dobrze, tego ci nie neguję, ale kradłeś i łupiłeś jeszcze lepiej; dwie gęby miałeś: jedną do fałszywych przysiąg, drugą do łamania obietnic, ale teraz dwoma się nie

wyprosisz. Swędzi cię od gallickiej choroby skóra i medyko wie ci ją drapią, — my cię lepiej podrapiemy, Zagłoby w tem głowa!!

— Ba! Zda się na kondycje [1] królowi, i co mu kto uczyni? — odrzekł pan Michał. ■— Jeszcze mu honory wojskowe będziemy musieli oddawać!

— Zda się na kondycje? tak! — zakrzyknął Zagłoba. — Dobrze!

Tu zaczął pięścią w stół walić tak silnie, że aż Roch Kowalski, który w tej chwili wszedł do izby, zląkł się i stanął, jak wryty, w progu.

— Niech żydom za parobka służę!— krzyczał dalej stary — jeżeli ja tego bluźniciela przeciw wierze, tego zdziercę kościołów, tego ciemięzcę panienek,tego kata męża i niewiasty, tego podpalacza, tego szelmę, tego felczera od puszczania krwi i pieniędzy, tego mieszkogryza[2], tego skórołupa, wolno z Warszawy wypuszczę! Dobrze! Król go na kondycje wypuści, hetmani na kondycje wypuszczą, ale ja, jakom katolik, jakom Zagłoba, jako szczęścia za życia, a Boga przy śmierci pragnę, taki tumult przeciw niemu uczynię, o jakim nikt jeszcze w tej Rzeczypospolitej nie słyszał! Nie machaj ręką, panie Michale! Tumult uczynię! powtarzam! tumult uczynię!

■— Wuj tumult uczyni! — zagrzmiał Roch Kowalski.

---

[1] podda się, zapewniwszy sobie odpowiednie warunki. [2] chciwca.

Wtem Akbah-Ułan wsadził swą zwierzęcą twarz przeze drzwi.

— Effendi! — rzekł do Kmicica — wojska królewskie za Wisłą widać!

Porwali się na to wszyscy na równe nogi i wypadli przed sień.

Król istotnie przybył. Najpierwej przyciągnęły tatarskie chorągwie pod Supanhazym, ale nie w tej liczbie, w jakiej ich się spodziewano. Za niemi nadeszło wojsko koronne, mnogie i dobrze uzbrojone, a przedewszystkiem pełne zapału. Do wieczora cała armja przeszła na świeżo zbudowanym przez pana Ośkierkę moście. Sapieha czekał na króla z uszykowanemi, jak do bitwy, chorągwiami, stojącemi wzdłuż, jedna podle drugiej, nakształt niezmiernego muru, którego końca okiem trudno było dosięgnąć. Rotmistrze stali przed pułkami, przy nich chorążowie, każdy z rozpuszczonym znakiem, trąby, kotły, krzywuły, bębny i litaury, czyniły zgiełk nieopisany. Koronne chorągwie, w miarę jak która przeszła, stawały również naprzeciw litewskich w ordynku; między jednem a drugiem wojskiem zostało na sto kroków pustego miejsca.

Sapieha, trzymając buławę w ręku, wyszedł piechotą na ów pusty majdan, za nim szło kilkunastu przedniejszych wojskowych i cywilnych dygnitarzy. Z drugiej strony, od wojsk koronnych, podjechał król konno na

wspaniałym fryzie i, podarowanym mu jeszcze w Lubowli przez pana marszałka Lubomirskiego, przybrany jak do bitwy, w błękitny lekki pancerz ze złotemi rzutami, z pod którego widać było czarny aksamitny kaftan, z wyłożoną aż na pancerz koronkową krezą; tylko zamiast hełmu, miał na głowie zwykły szwedzki kapelusz z czarnemi piórami, natomiast rękawice bojowe i na nogach długie, chrabąszczowego koloru buty, aż wysoko za kolana zachodzące.

Za nim jechał nuncjusz, ksiądz arcybiskup lwowski, ksiądz biskup kamieniecki, ksiądz nominat [2] łucki, ksiądz Cieciszowski, pan wojewoda krakowski, pan wojewoda ruski, baron Lisola, hrabia Póttingen, pan kamieniecki, poseł moskiewski, pan Grodzicki, jenerał artylerji, Tyzenhauz, i wielu innych. Posunął się Sapieha, jak ongi marszałek koronny, do strzemienia pańskiego, lecz król, nie czekając, zeskoczył lekko z kulbaki, podbiegł ku Sapieże, i nie rzekłszy ani słowa, chwycił go w objęcia.

I chwyciwszy, trzymał długo, na oczach obu wojsk; milczał ciągle, jeno łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy, bo oto przyciskał do piersi najwierniejszego sługę swego i ojczyzny, który choć genjuszem nie dorównał innym, który choć czasem pobłądził, przecie poczci-

---

[1] dużym, ciężkim koniu. [2] zamianowany, ale jeszcze nie urzędujący.

Wością wystrzelił nad wszystkie panięta tej Rzeczypospolitej, w wierności nigdy się nie zawahał, poświęcił bez chwili namysłu całą fortunę i od początku wojny piersi za swego monarchę i swój kraj nadstawiał.

Litwini, którzy sobie poprzednio szeptali, że za wypuszczenie Karola z pod Sandomierza i za ostatnią warszawską nieostrożność może i spotkają pana Sapiehę wymówki, a co najmniej zimne przyjęcie, widząc ową dobroć królewską, uczynili na cześć dobrego pana huk tak srogi, że echo niebiosów dosięgło. Odpowiedziały im zaraz jednym grzmotem wojska królewskie, i przez czas jakiś nad wrzawą kapeli, nad warczeniem bębnów, nad łoskotem strzałów, słychać było tylko okrzyki:

— Vivat Joannes Casimiras!

— Vivat koroniarze!

— Vivat Litwini!

Tak to oni witali się pod Warszawą. Drżały mury, a za murami Szwedzi.

— Ryknę! jak mi Bóg miły, ryknę! — wołał rozczulony Zagłoba, —• nie wytrzymam! Oto pan nasz! ojciec! (mości panowie! już szlocham!) ojciec!... nasz król, niedawno tułacz od wszystkich opuszczon, a teraz... a teraz... toć-że tu sto tysięcy szabel na zawołanie!... 0 Boże miłosierny!... Nie mogę od łez... Wczoraj był tułaczem, dziś... cesarz niemiecki nie ma wojsk tak zacnych!

Tu otwarły się śluzy w oczach pana Zagłoby i począł chlipać raz po raz, — nagle zwrócił się do Rocha:

— Cicho bądź! czego buczysz!

— A wuj to nie buczy? — odparł Roch.

— Prawda, jak mi Bóg miły, prawda!... Wstydziłem się, mości panowie, za tę Rzeczpospolitą... Ale teraz jużbym się z żadną inną nacją nie pomieniał!... Sto tysięcy szabel, jak gołębiowi z gardła!... Niech to inni pokażą!... Bóg dał opamiętanie, Bóg dał! Bóg dał!...

Pan Zagłoba nie pomylił się o wiele, bo istotnie stanęło pod Warszawą blisko siedemdziesiąt tysięcy ludzi, nie licząc dywizji pana Czarnieckiego, która jeszcze nie nadeszła, i nie licząc orężnej czeladzi obozowej, która w potrzebie stawała do sprawy, a której ćmy nieprzejrzane wlokły się za każdym obozem.

Po przywitaniu się i pobieżnej lustracji wojska, król podziękował sapieżyńskim, wśród ogólnego zapału, za wierne służby, i odjechał do Ujazdowa, wojska zaś stawały na pozycjach, które im wyznaczono. Niektóre chorągwie pozostały na Pradze, inne rozrzuciły się naokół miasta. Olbrzymi tabor wozów przeprawiał się jeszcze do drugiego południa przez Wisłę.

Nazajutrz okolice miasta zabieliły się tak namiotami, jakoby je śniegi pokryły. Nieprzeliczone stada koni rżały na przyległych błoniach. Za wojskiem ciągnęli kupcy ormiańscy,

żydowscy i tatarscy; drugie miasto, większe i gwarniejsze od obleganego, wyrosło na równinie.

Szwedzi, przerażeni pierwszych dni potęgą króla polskiego, nie czynili żadnych wycieczek, tak, że pan Grodzicki, jenerał artylerji, mógł spokojnie objeżdżać miasto i plan oblężenia układać.

Na drugi dzień czeladź poczęła tu i owdzie wznosić, wedle jego konceptu, szańce; zaciągano na nie tymczasem mniejsze działa, większe bowiem miały dopiero za parę tygodni nadciągnąć.

Król Jan Kazimierz posłał do starego Wittemberga, wzywając go do poddania miasta, do złożenia broni, i dając warunki łaskawe, które, gdy o nich dowiedziano się, wzbudziły nieukontentowanie w wojsku. Szerzył owo nieukontentowanie głównie pan Zagłoba, który miał szczególną do pomienionego jenerała nienawiść.

Wittemberg, jak łatwo było przewidzieć, odrzucił warunki i postanowił bronić się do ostatniej kropli krwi, i raczej zagrzebać się w gruzach miasta, niż wydać je w ręce królewskie. Wielość oblegających wojsk nie przestraszała go wcale, wiedział bowiem, że zbytnia liczba jest raczej zawadą, aniżeli pomocą w oblężeniu. Wcześnie też doniesiono mu, że w obozie królewskim niemasz ani jednego oblężniczego działa, podczas gdy Szwedzi mieli

ich aż nadto dosyć, nie licząc niewyczerpanych zasobów amunicji.

Jakoż było do przewidzenia, że będą bronili się zapamiętale. Warszawa bowiem służyła im dotychczas za skład zdobyczy. Wszystkie niezmierne skarby, złupione po zamkach, kościołach i miastach w całej Rzeczypospolitej, przychodziły do stolicy, skąd wyprawiano je partjami wodą do Prus i dalej do Szwecji. W chwili zaś obecnej, gdy kraj cały podniósł się, i zamki, bronione przez mniejsze szwedzkie załogi, nie zapewniały bezpieczeństwa, tern bardziej nazwożono zdobyczy do Warszawy. Szwedzki zaś żołnierz chętniej poświęcał życie, niż zdobycz. Ubogi lud, dobrawszy się do skarbów bogatej krainy, rozłakomił się tak dalece, że świat nie widział łapczywszych drapieżników. Sam król rozsławił się chciwością, jenerałowie szli za jego przykładem, a wszystkich przewyższał Wittemberg. Gdy o zysk chodziło, nie powstrzymywał oficerów ani honor kawalerski, ani wzgląd na powagę stopnia. Brali, wyciskali, łupili wszystko, co się wziąć dało. W samej Warszawie pułkownicy wysokiej szarży i szlachetnego urodzenia nie wstydzili się sprzedawać gorzałkę i tabakę własnym żołnierzom, byle tylko napcliać kieszenie ich żołdem.

Do zaciekłości w obronie mogło podniecać Szwedów i to, że najcelniejsi ich ludzie byli naówczas w Warszawie zamknięci, Więc na-

przód sam Wittemberg, drugi główny po Karolu dowódca, a pierwszy, który wstąpił w granice Rzeczypospolitej i do upadku ją pod Ujściem przywiódł. Miał on ;za to przygotowany w Szwecji triumf, jako zdobywca. Prócz niego, był w mieście kanclerz Oxenstierna, statysta na cały świat sławny, dla uczciwości swej nawet przez nieprzyjaciół szanowany. Nazywano go Minerwą królewską, gdyż jego to radom zawdzięczał Karol wszystkie swe przy układach zwycięstwa. Byli także jenerałowie: Wrangel młodszy, Horn, Erskin, drugi Loewenhaupt, — i mnóstwo dam szwedzkich wielkiego urodzenia, które za mężami swymi do tego kraju, jako do nowej posiadłości szwedzkiej, przyjechały.

Mieli więc Szwedzi czego bronić. Rozumiał też król Jan Kazimierz, że oblężenie, zwłaszcza przy braku ciężkich dział, będzie długie i krwawe; rozumieli i hetmani, ale nie cliciało myśleć o tern wo jsko. Ledwie Grodzicki szańce jakie takie wysypał, ledwie do murów nieco się przysunął, już poszły deputacje do króla od wszystkich chorągwi, by ochotnikom do szturmu iść pozwolono. Długo rnusiał tłumaczyć król, że szablami nie zdobywa się fortec, nim zapał pohamował.

Tymczasem posuwano, o ile możności, roboty. Wojsko, nie mogąc iść do szturmu, wzięło w nich obok ciurów udział gorliwy. Towarzysze z pod najprzedniejszych znaków,

ba! nawet oficerowie sami, wozili taczkami ziemię, znosili faszynę, pracowali przy podkopach ziemnych. Nieraz Szwedzi próbowali przeszkadzać robotom i dzień jeden nie upływał bez wycieczek, lecz ledwie muszkieterowie szwedzcy zdołali przejść bramę, pracujący przy szańcach Polacy porzucali taczki, pęki chróstu, łopaty, oskardy [1] i biegli z szablami w dym tak zaciekle, iż wycieczka z największym pośpiechem musiała się chronić do twierdzy. Trup padał przy owych starciach gęsto, fosy i majdany aż do szańców zjeżyły się mogiłami, w które chowano podczas krótkich zawieszeń broni poległych. Wreszcie i czasu nie stało na grzebanie, leżały więc ciała na wierzchu, owiewając straszliwym zaduchem miasto i oblegających.

Mimo największej trudności, codzień przekradali się do obozu królewskiego mieszczanie, donosząc, co się w mieście dzieje, i na kolanach żebrząc o przyśpieszenie szturmu. Szwedzi bowiem mieli jeszcze dosyć żywności, ale lud umierał z głodu po ulicach, żył w nędzy, w ucisku, pod straszliwą ręką załogi. Codziennie echa donosiły aż do obozu królewskiego odgłosy strzałów muszkietowych w mieście, i dopiero zbiegowie donosili, że to rozstrzeliwano mieszczan podejrzanych o życzliwość swemu królowi. Włosy powstawały od

---

[1] kilofy.

opowiadań zbiegów. Mówili, że cała ludność, chore niewiasty, nowonarodzone dzieci, starcy, wszyscy nocują na ulicach, bo Szwedzi powyganiali ich z domów, w których poprzebijano od muru do muru przejścia, by załoga, w razie wkroczenia wojsk królewskich, chronić się i cofać mogła. Na koczowniczą ludność padały deszcze, w dnie pogodne paliło ją słońce, nocami szczypały chłody. Ognia nie wolno było mieszkańcom palić, nie mieli przy czem łyżki ciepłej strawy uwarzyć. Różne choroby szerzyły się coraz bardziej i zabierały setki ofiar.

Królowi, gdy słuchał tych opowiadań, pękało serce, więc słał gońców za gońcami, by przyjście ciężkich dział przyśpieszyć. Zaś czas płynął, upływały dnie, tygodnie, i prócz odbijania wycieczek, nie można było nic ważniejszego przedsięwziąć. Krzepiła tylko oblegających myśl, że i załodze musi wkońcu zabraknąć żywności, gdyż drogi były tak poprzecinane, że i mysz nie zdołałaby się dostać do fortecy. Tracili też oblężeni z każdym dniem nadzieję odsieczy; owa armja pod Duglasem, stojąca najbliżej, nietylko nie mogła pośpieszyć z ratunkiem, ale o własnej musiała myśleć skórze, król bowiem Kazimierz, mając aż nadto sił, zdołał i tamtych przyciszyć.

Poczęto wreszcie, jeszcze przed przyjściem ciężkich kartaunów, ostrzeliwać fortecę z mniejszych. Pan Grodzicki od strony Wisły,

sypiąc przed sobą, jak kret, ziemne zasłony, przysunął się o sześć kroków do fosy i zionął nieustannym ogniem na nieszczęsne miasto. Przepyszny pałac Kaczanowskich został zrujnowany i nie żałowano go, bo do zdrajcy Radziejowskiego należał. Ledwie trzymały się jeszcze poszczerbione mury, świecące pustemi oknami; na wspaniałe tarasy [1] i sady padały dzień i noc kule, burząc cudne fontanny, mostki, altany, marmurowe posągi, i płosząc pawie, które żałosnym wrzaskiem dawały znać o swem nieszczęsnem położeniu.

Pan Grodzicki sypał ogień i na dzwonnicę bernardyńską, z tej strony bowiem postanowił do szturmu przystąpić.

Tymczasem ciurowie obozowi poczęli się prosić, aby im wolno było uderzyć na miasto, bardzo bowiem pragnęli pierwsi do skarbów szwedzkich się dostać. Król raz odmówił, lecz wreszcie pozwolił. Kilku znacznych oficerów podjęło się stanąć na czele, a między innymi i Kmicic, któremu nietylko sprzykrzyła się bezczynność, ale wogóle rady sobie dać nie mógł z tej przyczyny, że Hassling, zapadłszy w ciężką chorobę, od kilku tygodni leżał bez duszy i o niczem mówić nic nie mógł.

Skrzyknięto się zatem na szturm. Pan Grodzicki sprzeciwiał mu się do ostatniej chwili, twierdząc, że póki wyłom nie zrobiony, mia-

---

[1] tu: ogrody na sztucznych podmurowaniach.

sto nie może być wzięte, choćby nietylko ciurowie, ale sama regularna piechota poszła do ataku. Lecz ponieważ król dał już poprzednio pozwolenie, rnusiał ustąpić.

Dnia 15 czerwca zebrało się około sześciu tysięcy obozowej czeladzi, przygotowano drabiny, pęki chróstu, wory z piaskiem, bosaki, i pod wieczór tłum, zbrojny po większej części tylko w szable, począł ściągać się w miejsce, gdzie podkopy i ziemne osłony przymykały najbliżej do fosy. Gdy się już ściemniło zupełnie, na dany znak ruszyli pacholikowie z wrzaskiem okropnym ku fosie i poczęli ją zasypywać. Czujni Szwedzi przyjęli ich morderczym ogniem z muszkietów, dział, i bitwa zaciekła zawrzała na całej wschodniej stronie miasta. Ciurowie pod zasłoną ciemności zarzucili w mgnieniu oka fosę, i kupą bezładną dotarli aż do murów. Pan Kmicic uderzył we dwa tysiąoe na ziemny fort, który Polacy zwali „kretowiskiem“, stojący w pobliżu bramy Krakowskiej, i mimo rozpaczliwej obrony, zdobył go jednym zamachem. Załogę rozniesiono na szablach, nikogo nie żywiąc. Działa rozkazał zwrócić pan Andrzej ku bramie, częścią zaś ku dalszym murom, aby przyjść z pomocą i osłonić nieco te kupy, które usiłowały się na nie wdrapać.

Tym zaś nie poszczęściło się w równym stopniu. Pachołkowie przystawiali drabiny i darli się na nie tak zapamiętale, żę ittajbar-

dziej ćwiczona piechota nie potrafiłaby lepiej, lecz Szwedzi, sami zabezpieczeni blankami, sypali im ogień w same twarze, spychali przygotowane kamienie i kłody, pod których ciężarem łamały się w drobne drzazgi drabiny, wreszcie piechota spychała szturmujących z pomocą długich dzid, przeciw którym szable nie mogły nic wskórać.

Przeszło pięciuset co najdzielniejszej czeladzi legło pod murem; reszta, pod nieustającym ogniem, schroniła się napowrót przez fosę do polskich przykopów.

Szturm był odparty, ale ów forcik pozostał w ręku polskich. Próżno Szwedzi walili doń przez całą noc z najcięższych kartaunów; Kmicic odpowiadał im również przez całą noc z tych dział, które zdobył. Dopiero nad ranem, gdy uczyniło się widno, rozbito mu je co do jednego. Wittemberg, któremu o ów szaniec, jak o głowę chodziło, wysłał wówczas piechotę z rozkazem, by nie ważyła się wracać, nie odzyskawszy straty, lecz pan Grodzicki w tejże chwili posłał Kmicicowi posiłki, z pomocą których ten nietylko odparł piechotę, lecz wypadł za nią i gnał aż do Krakowskiej bramy.

Pan Grodzicki tak był uradowany, że osobiście pobiegł do króla z relacją.

— Miłościwy panie! — rzekł. — Byłem przeciwny wczorajszej robocie, ale teraz widzę, że nie stracona! Póki ten szaniec był

w ich ręku, póty nie mogłem nic wskórać przeciw bramie, a teraz, niech jeno działa ciężkie nadejdą, w jedną noc wyłom uczynię.

Król, który był frasobliwy, że tylu dobrych pachołków pobito, uradował się słowami pana Grodzickiego i zaraz spytał:

— A kto tam w owym szańcu ma komendę?

— Pan Babinicz! — odpowiedziało kilka głosów.

Król w ręce klasnął.

— Ten wszędy musi być pierwszy! Mości jenerale, znam ja go! Okrutnie to zacięty kawaler i nie da się wykurzyć!

— Winaby to była nie do odpuszczenia, miłościwy panie, — odrzekł Grodzicki, — gdybyśmy na to pozwolili. Jużem mu tam piechoty posłał i działek, bo że go tam będą wykurzać, to będą! O Warszawę chodzi! Tyle ten kawaler złota wart, ile sam waży!

— Więcej wart! bo to nie pierwszy i nie dziesiąty jego postępek! — odrzekł król.

Poczem kazał sobie podać co duchu konia, lunetę, i pojechał patrzeć na szaniec. Lecz z za dymów wcale nie było go widać, bo kilkanaście kartaunów ziało nań ogniem nieustannym, rzucało nań faskule, granaty, blachy napełnione kartaczami. A przecie szaniec ów leżał tak niedaleko bramy, że nieledwie i strzały muszkietowe donosiły; to też granaty widać było doskonale, jak wylatywały nakształt obłoczków w górę i, opisując łuk bar-

dzo zgięty, wpadały w ową chmurę dymu, roztrzaskując się w niej z hukiem okropnym. Wiele padało aż za szaniec, i te tamowały przystęp posiłkom.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego! — rzekł król. — Tyzenhauz! patrz!

— Nic nie widać, miłościwy królu!

— Kupa ziemi porytej jeno zostanie! Nie może inaczej być! Tyzenhauz, wiesz, kto tam siedzi?

— Wiem, miłościwy królu, Babinicz! Jeśli żyw wyjdzie, będzie mógł powiedzieć, że za życia był w piekle.

— Trzeba mu tam jeszcze świeżych ludzi podesłać! Mości jenerale!...

— Już rozkazy wydane, ale trudno im dojść, bo granaty przenoszą i okrutnie gęsto z tej strony fortu padają.

— Ze wszystkich dział do murów mi bić, żeby dywersję uczynić! [1]

Grodzicki ścisnął konia ostrogami i skoczył ku szańcom. Po chwili ozwały się działa na całej linji, a nieco później widać było, jak świeży oddział piechoty mazurskiej wyszedł z przykopów i kopnął się biegiem ku kretowisku.

Król wciąż stał i patrzył. Nakoniec zakrzyknął :

— Godzi się Babinicza zluzować w komen-

---

[1] odwrócić uwagę nieprzyjaciela w inną stronę.

dzie. A kto mości panowie, zechce go na ochotnika zastąpić?

Skrzetuskich, ni Wołodyjowskiego nie było w tej chwili przy osobie pana, więc nastała chwila milczenia.

— Ja! — ozwał się nagle pan Topór Grylewski, towarzysz lekkiego znaku imienia prymasa.

— Ja! — powtórzył Tyzenhauz.

— *Ja!* ja! ja! — ozwało się zaraz kilkanaście głosów.

— Kto pierwszy się ofiarował, niech ten idzie! — rzekł król.

Pan Topór Grylewski przeżegnał się, następnie przechylił do ust manierkę, i skoczył.

Król stał i patrzył ciągle w chmurę dymów, któremi przykryte było kretowisko, a które ciągnęły się wyżej nad niem, nakształt mostu, aż do samych murów. Ponieważ fort leżał bliżej Wisły, więc mury miejskie górowały nad nim, i dlatego ogień był tak straszliwy.

Tymczasem huk dział zmniejszył się nieco, choć granaty nie ustawały opisywać łuków, natomiast grzechot strzałów muszkietowych rozlegał się tak, jakby tysiące chłopów biło cepami w klepisko.

— Widać znów idą do ataku — rzekł Tyzenhauz. — Gdyby mniej było dymów, widzielibyśmy piechotę.

— Podjedźmy nieco — rzekł król, ruszając koniem.

Za nim rusizyli inni, i jadąc brzegiem Wisły od Ujazdowa, podjechali prawie do samego Solca, a ponieważ sady pałaców i klasztorów, schodzące ku Wiśle, były jeszcze w zimie przez Szwedów na opał wycięte i drzewa nie zasłaniały widoku, mogli więc przekonać się i bez lunet, że Szwedzi istotnie znów ruszyli do szturmu.

— Wołałbym tę pozycję stracić, — oz wał się nagle król, — niż żeby Babinicz miał zginąć!

— Bóg go obroni! — rzekł ksiądz Cieciszowski.

— I pan Grodzicki nie omieszka posiłków posłać! — dodał Tyzenhauz.

Dalszą rozmowę przerwał jakiś jeździec, który zbliżał się całym pędem od strony miasta. Tyzenhauz, mając wzrok tak bystry, że gołem okiem lepiej widział, niż inni przez perspektywy, porwał się na jego widok za głowę i krzyknął:

— Grylewski wraca! Babinicz rnusiał polec i fort zdobyto!

Król przysłonił oczy rękoma, tymczasem Grylewski przyskoczył, osadził konia na miejscu, i łapiąc powietrze ustami, zawołał:

— Miłościwy panie!

— Co tam? zabit! — spytał król.

— Pan Babinicz powiada, że mu tam dobrze i nie chce zastępcy, prosi tylko, by mu jeść przysłać, bo od rana nic w gębie nie mieli!

— Żyje zatem? — krzyknął król.

— Powiada, że mu dobrze! — powtórzył pan Grylewski.

Inni zaś, ochłonąwszy ze zdumienia, poczęli wołać:

— To fantazja kawalerska!

— To żołnierz!

Później zaś do pana Grylewskiego:

— A, już potrzeba było zostać i koniecznie go zluzować. Nie wstyd to wracać? Tchórz waści obleciał, czy co? Lepiej się było nie podejmować!

Na to pan Grylewski:

— Miłościwy panie! Kto mi tchórza zadaje, temu się sprawię na każdem polu, ale przed majestatem muszę się usprawiedliwić. Byłem w samem kretowisku, czegoby może niejeden z ichmościów nie dokazał, ale ów Babinicz jeszcze mi do oczu za moją intencję skoczył. „Idź waść (powiada) do kaduka! Ja tu pracuję, ledwie (powiada) ze skóry nie wylezę, i na gawędy nie mam czasu, a sławą, ni komendą dzielić się z nikim nie chcę. Dobrze mi tu (powiada) i ostanę, a waści za okop każę wyprowadzić! Bodaj cię zabito! (powiada). Żreć nam się chce, a tu mi komendanta, nie strawę, przysyłają!“ Com miał robić, miłościwy panie? Nawet się i humorowi jego nie dziwuję, bo tam im ręce od roboty opadają!

— A jakże? — spytał król — utrzyma on się tam?

— Taki straceniec?! Gdzie on się nie utrzyma! Tegom jeszcze zapomniał powiedzieć, co mi na odchodnem krzyknął: „Będę tu i tydzień siedział, i nie dam się, byłem miał co jeść!“

— Można-że tam wysiedzieć?

— Tam, miłościwy królu, istny dzień sądu! Granat pada za granatem, czerepy, jako diabły, koło uszu świszczą, ziemia w doły powybijana, od dymu mówić nie można! Piaskiem i darnią kule rzucają, że co chwila trzeba się otrząsać, żeby nie przysypało. Siła ich poległo, ale ci, co żywi, w brózdach na okopie leżą i płotki sobie przed głowami z kołów porobili, ziemią je umocniwszy. Bardzo starownie Szwedzi ten nasyp uczynili, a teraz przeciw nim służy. Przy mnie jeszcze przyszły piechoty pana Grodzickiego i teraz biją się tam na nowo.

— Skoro na mury nie można, póki wyłomu niema, — rzekł król, — to na pałace na Krakowskiem dziś jeszcze uderzymy; to będzie najlepsza dywersja.

— Okrutnie i pałace umocnione, prawie w fortece pozmieniane—zauważył Tyzenhauz.

— Ale im z pomocą z miasta nie pośpieszą, bo całą zawziętość na Babinicza obracają — odrzekł król. — Tak będzie, jakom tu żyw, tak będzie! I zaraz szturm nakażę, jeno jeszcze Babinicza przeżegnam.

To rzekłszy, król wziął z ręki księdza Cie-

ciszowskiego złocisty krucyfiks, w którym drzazgi Krzyża świętego były osadzone, i podniósłszy go do góry, począł żegnać daleki nasyp, okryty ogniem i dymami, mówiąc:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków i Jakóbów, zmiłuj się nad ludem Twoim i daj ratunek tym ginącym! Amen! amen! amen!

## ROZDZIAŁ VII.

Nastąpił krwawy szturm od strony Nowego Światu ku Krakowskiemu Przedmieściu, niezbyt szczęśliwy, ale o tyle skuteczny, że odwrócił uwagę Szwedów od szańca bronionego przez Kmicica i pozwolił zawartej w nim załodze nieco odetchnąć. Posunęli się jednak Polacy aż do pałacu Kazimierowskiego, lubo nie mogli utrzymać owego punktu.

Z drugiej strony szturmowano do pałacu daniłłowiczowskiego i do Gdańskiego domu, również bezskutecznie. Legło znów ludzi kilkaset. Tę jedną miał król pociechę, iż widział, że nawet pospolite ruszenie z największem męstwem i poświęceniem rwie się na mury i że po owych próbach, mniej więcej niepomyślnych, duch nietylko nie upadł, ale przeciwnie, umocniła się w wojsku pewność zwycięstwa.

Lecz najpomyślniejszem dni tych wydarzeniem było przybycie pana Jana Zamojskiego i pana Czarnieckiego. Pierwszy z nich spro-

wadził piechotę bardzo doskonałą i tak ciężkie kartauny z Zamościa, iż Szwedzi nie mieli w Warszawie podobnych. Drugi, obsadziwszy Duglasa w porozumieniu z panem Sapiehą częścią wojsk litewskich i pospolitego ruszenia podlaskiego, nad którem Skrzetuskiemu Janowi powierzono dowództwo, przybył do Warszawy, aby wziąć udział w szturmie jeneralnym. Spodziewano się, a i Czarniecki dzielił tę wiarę, że ten szturm będzie ostatnim.

Na szańcu, zdobytym przez Kmicica, ustawiono owe działa potężne, które natychmiast poczęły pracować przeciw murom i bramie i na początek zmusiły do milczenia granatniki szwedzkie. Wówczas sam jenerał Grodzicki zajął tę pozycję, Kmicic zaś powrócił do swych Tatarów.

Ale nie dojechał jeszcze do swej kwatery, gdy już wezwano go do Ujazdowa. Król wobec całego sztabu wysławiał młodego rycerza; nie szczędził mu pochwał sam Czarniecki, ni Sapieha, ni Lubomirski, ni hetmani koronni, on zaś stał w podartem i zasypanem ziemią ubraniu, na twarzy całkiem dymami prochowemi okopcony, niewyspany, ubrudzon, lecz radosny, że szaniec utrzymał, na tyle pochwał zasłużył i sławę niezmierną u obu wojsk pozyskał.

Winszowali mu też, między innymi kawalerami, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

— Nie wiesz nawet, panie Andrzeju, —

rzeki mu mały rycerz, — jak wielkie i u króla masz zachowanie L Wczoraj byłem na radzie wojennej, bo mnie pan Czarniecki wziął ze sobą. Mówiono o szturmie, a potem o wiadomościach, które właśnie z Litwy nadeszły, o tamtejszej wojnie i o okrucieństwach, jakich się Pontus i Szwedzi dopuszczają. Radzą tedy, jakby tam wojnę podsycić. Powiada Sapieha, że najlepiej parę chorągwi posłać i człeka, którenby umiał być tam tern, czem pan Czarniecki był na początku wojny w Koronie. Na to król: „Taki jest tylko jeden: Babinicz“. Inni zaraz przyświadczyli.

— Ja na Litwę, a zwłaszcza na Żmudź, najchętniej pojadę, — odrzekł Kmicic, — sam króla jegomości o to prosić miałem, czekam jeno, póki Warszawy nie weźmiem.

— Szturm jeneralny na jutro — rzekł, zbliżając się, Zagłoba.

— Wiem, a jak się ma Ketling?

— Kto taki? Chyba Hassling?

— Wszystko jedno, bo on ma dwa nazwiska, jak to u Angielczyków, Szkotów i wielu innych nacyj obyczaj.

— Prawda — odrzekł Zagłoba; — a Hiszpan, to ci na każdy dzień tygodnia ma inne. Powiadał mi waszmościów pacholik, że Hassling, czyli też ów Ketling, zdrowy; już przemówił, chodzi, i gorączka go opuściła, jeno jeść co godzina woła.

[1] uznanie, zaufanie.

— A waść to nie byłeś u niego? — spytał Kmicic małego rycerza.

— Nie byłem, bom czasu nie miał. Kto tam przed szturmem ma głowę do czegokolwiek?

— To pójdźmy teraz.

— Waćpan idź naprzód spać — rzekł Zagłoba.

— Prawda! prawda! Ledwie na nogach stoję!

Jakoż wróciwszy do siebie, poszedł pan Andrzej za tą radą, tern bardziej, że i Hasslinga zastał śpiącego. Natomiast przyszli go wieczorem odwiedzić Zagłoba z Wołodyjowskim i zasiedli w przestronnym letniku[1], który Tatarowie dla swego „bagadyra“ wznieśli. Kiemlicze miód im leli stary, stuletni, który król Kmicicowi przysłał, a oni popijali -go odlotnie, gdyż gorąco było na dworze. Hassling, blady jeszcze i wycieńczony, zdawał się życie i siły czerpać w cennym napitku. Zagłoba językiem mlaskał i pot z czoła obcierał.

— Hej! jak tam te kartauny grzmią — ozwał się, nasłuchując, młody Szkot. — Jutro pójdziecie do szturmu... dobrze zdrowym!... Boże was błogosław! Obcej krwi jestem i służyłem komum był powinien, ale wam lepiej życzę! Ach! co to za miód! Życie, życie we mnie wstępuje...

Tak mówiąc, odrzucał swe złote włosy wtył

---

[1] altanie.

i oczy błękitne wznosił kn niebu; a twarz miał cudną i pół jeszcze dziecinną. Zagłoba spoglądał na niego z pewnem rozrzewnieniem.

— Waćpan tak dobrze po polsku mówisz, panie kawalerze, jak każdy z nas. Zostań Polakiem, pokochaj tę naszą ojczyznę, a zacną rzecz uczynisz i miodu ci nie zabraknie! O indygenat [1] też żołnierzowi nie tak u nas trudno.

Na to Hassling:

— Tern bardziej, że szlachcicem jestem. Całe moje nazwisko jest: Hassling-Ketling of Elgin. Rodzina moja z Anglji pochodzi, choć w Szkocji osiadła.

— Dalekie to są i zamorskie kraje, a tu jakoś przystojniej człowiekowi żyć — odparł Zagłoba.

— Mnie też t i dobrze!

— Ale nąm źle,— rzekł Kmicic, który kręcił się od początku niecierpliwie na ławie, — bo nam pilno słyszeć, co w Taurogach się działo, waćpanowie zaś o rodowodach rozprawiacie.

— Pytajcie mnie, będę odpowiadał.

— Często widywałeś pannę Billewiczównę?

Po bladej twarzy Hasslinga przeleciały rumieńce.

— Codzień! — rzekł.

A pan Kmicic zaraz począł na niego bystro patrzeć.

---

[1] prawo obywatelstwa dla cudzoziemca.

— Cóżeś to był taki konfident? Czego płoniesz? Codzień? Jakto codzień?

— Bo wiedziała, żem był jej życzliwy i usług jej kilka oddałem. To się z dalszego opowiadania okaże, a teraz trzeba od początku zacząć. Waćpanowie może nie wiecie, że nie byłem w Kiejdanacli wówczas, gdy książę koniuszy przyjechał i pannę ową do Taurogów wywiózł? Owóż, dlaczego się to stało, nie będę powtarzał, bo różni różnie mówili, to tylko powiem, iż ledwie przyjechali, wszyscy zaraz spostrzegli, że książę okrutnie zakochany.

— Bodaj go Bóg skarał! — zakrzyknął Kmicic.

— Nastały zabawy, jakich przedtem nie bywało, a gonitwy do pierścienia i turnieje. Myślałby kto, że najspokojniejsze czasy, a tu codzień listy biegały, przyjeżdżali posłowie od elektora, od księcia Janusza. Wiedzieliśmy, że książę Janusz, przez pana Sapiehę i konfederatów przyciśnięty, o ratunek na miłosierdzie Boskie błaga, bo mu zguba grozi. My nic! Na granicy elektorskiej gotowe wojska stoją, kapitanowie z zaciągami nadchodzą, ale w pomoc nie idziem, bo księciu od panny niesporo.

— To dlatego Bogusław z pomocą bratu nie przychodził? — ozwał się Zagłoba.

— Tak jest. Toż samo mówił Paterson i wszyscy osoby jego najbliżsi. Niektórzy sarkali na to, inni radzi byli, że Radziwiłłowie

zginą. Sakowicz za księcia sprawy publiczne odrabiał i na listy odpowiadał i z posłami się naradzał, książę zaś jedynie na to koncept wysilał, żeby ułożyć jakowąś zabawę, albo konną kawalkadę[1], albo polowanie. Pieniędzmi — on, skąpiec, — na wszystkie strony sypał, lasy kazał ma mile całe wycinać, by panna z okien miała prospekt lepszy, słowem, że naprawdę kwiaty jej pod nogi sypał i tak ją przyjmował, że gdyby była królewną szwedzką, nicby lepszego nie wymyślił. Żałowało ją z tego powodu wielu, bo mówiono: „Wszystko to na jej zgubę: ożenić się książę, nie ożeni, a niech ją jeno za serce chwyci, to ją doprowadzi". Aleć się pokazało, że to nie taka panna, któraby można doprowadzić tam, gdzie cnota nie chodzi. Oho!

— A co? — zawołał, zrywając się, Kmicic. — Wiem ci ja to lepiej od' innych!

— Jakże panna Billewiczówna owe królewskie hołdy przyjmowała? — spytał Wołodyjowski.

— Z początku z uprzejmą twarzą, lubo było widać po niej, że jakowyś żal w sercu nosi. Bywała na łowach, na maszkarach i kawalkadach i turniejach, myśląc ponoć, że to zwykły dworski u księcia obyczaj. Aleć wprędce się spostrzegła, że to wszystko dla niej. Raz się trafiło, że książę, wysiliwszy już

[1] tu: pochód uroczysty.

koncept na rozmaite widowiska, zapragnął pannie konterfekt wojny pokazać: zapalono tedy osadę blisko Taurogów, — piechota broniła, książę szturmował. Oczywiście wiktorję wielką odniósł, po której syt chwały, upadł, jak powiadają pannie do nóg i o wzajemność w afektach prosił. Niewiadomo, co jej tam proposuit i, ale od tej pory skończyła się ich amicycja. Ona poczęła się stryja swego, pana miecznika rosieńskiego, dzień i noc za rękaw trzymać, książę zaś...

— Począł jej grozić? —zakrzyknął Kmicic.

— Gdzie tam! Za greckiego pasterza się przebierał, za Philemona; umyślni kurjerowie latali do Królewca po modeljusze[2] pasterskich strojów, po wstęgi i peruki. On desperację udawał, pod jej oknami chodził i na lutni grywał. A tu powiem waćpanom, co rzetelnie myślę: kat to był na cnotę panien zawzięty, i śmiało można o nim rzec, co w naszej ojczyźnie o podobnych ludziach mówią: że jego westchnienia niejeden panieński żagiel wydęły, — ale tym razem naprawdę się zakochał, co i nie dziwota, bo panna więcej boginie, niźli mieszkanki ziemskiego padołu przypomina.

Tu Hassling zarumienił się znowu, lecz pan Andrzej tego nie spostrzegł, bo chwyciwszy się z zadowolenia i dumy w boki, spoglądał

[1] zaproponował, [2] wzory.

właśnie triumfującym wzrokiem na Zagłobę i Wołodyjowskiego.

— Znamy ją, wykapana Diana, jeno jej miesiąca we włosacli brak! — rzekł mały rycerz.

— Co to Diana?! Własne psyby na Dianę wyły, gdyby ją ujrzały! — zakrzyknął Kmicic.

— Dlategom rzekł: „nie dziwota“ — odpowiedział Hassling.

— Dobrze! Jeno za tę niedziwotę małym ogniembym go przypalał; za tę niedziwotę hufnalamibym go podkuć kazał...

— Daj waćpan spokój! — przerwał Zagłoba — pierw go dostań, potem będziesz wydziwiał, teraz zasię daj temu kawalerowi mówić.

— Nieraz trzymałem wartę przed komnatą, w której sypiał, — mówił dalej Hassling, — i wiem, jako się na łożu przewracał, a wzdychał, a gadał do siebie, a syczał jako z bólu, tak go widocznie żądze piekły. Zmienił się okrutnie, wysechł; może też go ta choroba już nurtowała, w którą później zapadł. Tymczasem rozleciały się po całym dworze wieści, iż książę tak dalece się zapamiętał, że się clice żenić. Doszło to i do księżnej Januszowej, która z księżniczką w Taurogach mieszkała. Zaczęły się gniewy a kwasy, bo jak waćpaństwu wiadomo, miał Bogusław, wedle układu, poślubić księżniczkę Januszównę, byle do lat doszła. Lecz on o wszystkiem już zapomniał,

tak miał przeszyte serce. Księżna Januszowa, wpadłszy w pasję, pojechała z córką do Kurlandji, on zaś oświadczył się o pannę Billewiczównę tego samego wieczora.

— Oświadczył się? 1 — zawołali ze zdumieniem Zagłoba, Kmicic i Wołodyjowski.

— Tak! Naprzód panu miecznikowi rosieńskiemu, który nie mniej od waszmościów był zdtimion i uszom własnym wierzyć nie cbciał, ale uwierzywszy wreszcie, z radości ledwie się posiadał, boć to dla całego domu Billewiczów splendor niemały z Radziwiłłami się połączyć; wprawdzie powiadał Paterson, że i tak koligacja jakaś, jest, ale dawna i zapomniana.

— Powiadaj dalej! — ozwał się, drżąc z niecierpliwości, Kmicic.

— Obaj tedy ruszyli do panny z całą ostentacją, jaka w takich razach we zwyczaju. Cały dwór aż się trząsł. Przyszły złe wieści od księcia Janusza, Sakowicz jeden je przeczytał, zresztą nikt na nie nie zważał, ani też na Sakowicza, bo był tego czasu wypadł z łaski za to, że małżeństwo perswadował. A u nas jedni mówili, że to nie pierwszyzna Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, że w tej Rzeczypospolitej wszystka szlachta równa, a billewiczowski dom rzymskich czasów sięga. I to mówili ci, którzy już sobie chcieli łaski przyszłej pani zarobić. Inni twierdzili, że to tylko fortel księcia, aby do większej przyjść z panną konfidencji (jako to między narzeczonymi

niejedno uchodzi) i przy sposobności kwiat dziewictwa uszczknąć.

— Pewnie to było! Nic innego! — ozwał się pan Zagłoba.

— I ja tak mniemam, — rzekł Hassling, — ale słuchajcie dalej. Gdy tak między sobą na dworze deliberujem, nagle, jak grom, rozchodzi się, że panna przecięła wątpliwości jak szablą, bo odmówiła wprost.

— Boże jej błogosław! — krzyknął Kmicic.

— Odmówiła tedy wprost! — mówił dalej Hassling. — Dość było spojrzeć na księcia, by to poznać. On, któremu księżniczki ulegały, nie znosił oporu i mało nie oszalał. Niebezpiecznie mu się było pokazywać. Wiedzieliśmy wszyscy, że tak długo nie pozostanie i że książę prędzej czy później siły użyje. Jakoż porwano na drugi dzień pana miecznika i osadzono w Tylży, już za granicą elektorską. Tegoż dnia panna ubłagała oficera, trzymającego straż przed jej drzwiami, że jej krócicę nabitą dał. Oficer jej tego nie odmówił, bo szlachcicem i honorowym człekiem będąc, czuł litość dla nieszczęść damy, a uwielbienie dla jej urody i stałości.

— Kto ów oficer? — zawołał Kmicic.

— Ja! — odrzekł Hassling.

Pan Andrzej porwał go tak w ramiona, że młody Szkot, słabym jeszcze będąc, krzyknął z bólu.

— Nic to! — zawołał Kmicic. — Nie jesteś

jeńcem, jesteś moim bratem, przyjacielem! Mów, czego chcesz? Na Boga! powiadaj, czego chcesz?

— Spocząć chwilę! — odrzekł, dysząc, Hassling.

I umilkł, ściskał tylko ręce, które mu podawali Wołodyjowski i Zagłoba, nakoniec sam widząc, że wszyscy płoną z ciekawości, mówił dalej:

— Ostrzegłem ją też, o czem wszyscy wiedzieli, że medyk książęcy przygotowywał jakieś bezoary i dekokty [1] odurzające. Tymczasem obawy okazały się płonne, bo wmieszał się do sprawy Pan Bóg, Ten tknąwszy księcia palcem, obalił go na łoże boleści i miesiąc trzymał. Dziw, mości panowie, ale padł tak, jakby go kosą z nóg ścięto, tego samego dnia, gdy miał na cnotę tej panienki nastąpić. Ręka Boża, mówię, nic więcej! Sam on to pomyślał i zląkł się, może też w chorobie wypaliły się w nim żądze, a może czekał na odzyskanie sił, dość, że przyszedłszy do siebie, dał jej spokój, a nawet miecznika z Tylży dozwolił sprowadzić. Coprawda, to opuściła go choroba obłożna, ale nie febra, która do tej pory ponoć go gnębi. Coprawda także, to wkrótce po opuszczeniu łoża na wyprawę ową rnusiał iść pod Tykocin, w której klęska go spotkała. Wrócił z febrą jeszcze większą, zaczem elektor przywołał go do siebie, a tymczasem

[1] odwary.

w Taurogach zaszła taka zmiana, o której i dziwnie i śmieszno powiadać, dość, że książę nie może tam już na wierność żadnego oficera, ani dworzanina liczyć, chyba na bardzo starych, którzy nie dowidzą i nie dosłyszą, zatem i nie dopilnują.

— Cóż się takiego stało? — spytał Zagłoba.

— W czasie tykocińskiej wyprawy porwano jeszcze przed janowską klęską, niejaką pannę Annę Borzobohatą-Krasieńską i przysłano ją do Taurogów.

— Masz babo placek! — zawołał Zagłoba.

A pan Wołodyjowski począł oczyma mrugać i srodze wąsikami ruszać, wreszcie rzekł:

— Panie kawalerze, nie powiadaj o niej jeno nic złego, bo po wyzdrowieniu ze mną miałbyś do czynienia.

— Choćbym chciał, nie mogę nic złego o niej powiedzieć, ale jeśli to waszej mości narzeczona, to powiem, że jej źle pilnujesz, a jeśli krewna, to zbyt ją dobrze znasz, abyś temu, co powiem, miał negować, — dość, że w tydzień rozkochała ta panna w sobie wszystkich w czambuł, starszych i młodszych, niczem innem, jeno oczu strzyżeniem z dodatkiem jakichś sztuk czarodziejskich, z których już relacji zdać nie mogę.

— Ona! W pieklebym ją po tern poznał! — mruknął Wołodyjowski.

— Dziwna rzecz! — mówił Hassling, — Przecież panna Billewiczówna dorównywa

tamtej* urodą, ale taka w niej powaga i nieprzystępność, jakby w jakowej ksieni 1, że człek admirując i wielbiąc, nie śmie nawet i oczu podnieść, a cóż dopiero jakowąś nadzieję powziąć. Sami przyznacie, że bywają różne panny: jedne jako starożytne westalki, drugie — co to ledwie spojrzysz, już obciąłbyś...

— Mości panie!—rzekł groźnie pan Michał.

— Nie bzdycz[2] się, panie Michale, bo prawdę powiada! — rzekł Zagłoba. — Sam przy niej nogami przebierasz, jako młody kurek, i oczy ci bielmem zachodzą, a że bałamutna, wszyscy wiemy i ty mało sto razy to mówiłeś.

— Porzućmy tę materję — rzekł Hassling.. — Chciałem tylko waćpanom wytłumaczyć, dlaczego w pannie Billewiczównie zakochali się niektórzy tylko, prawdziwie niezrównaną jej doskonałość ocenić zdolni (tu zarumienił się znów Hassling), a w pannie Borzobohatej niemal wszyscy. Jak mi Bóg miły, śmiech brał, bo zupełnie tak było, jakby jakowaś zaraza padła na serca. A zwad, a pojedynków namnożyło się w mgnieniu oka. I o co? Poco? Bo i to trzeba wiedzieć, że niemasz takiego, któryby się wzajemnym afektem tej panienki mógł pochlubić, w to tylko każdy ślepo wierzy, że — prędzej, później — on jeden coś wskóra.

---

[1] przełożonej klasztoru żeńskiego. [2] nie sierdź się.

— Ona, jakoby ją malował! — mruknął znów Wołodyjowski.

— Zato obie panienki pokochały się okrutnie, — mówił dalej Hassling, — jedna bez drugiej krokiem nie ruszy, że zaś panna Borzoboliata rządzi jak sama chce w Taurogach...

— Jakto? — przerwał mały rycerz.

— Bo rządzi wszystkimi. Sakowicz na wyprawę teraz nie pojechał, taki rozkochany, a Sakowicz pan absolutny we wszystkich książęcych posiadłościach. Przez niego rządzi panna Anna.

— Takiż on rozkochany? — spytał znowu Wołodyjowski.

— I najbardziej sobie dufa, bo to człek sam przez się bardzo możny.

— A zowie się Sakowicz?

— Wasza mość choesz go widzę dobrze zapamiętać?

— I... zapewne! — odrzekł niby niedbale Wołodyjowski, ale tak przytesm złowrogo wąsikami ruszył, że Zagłobę ciarki przeszły.

— Owóż to tylko cliciałem dodać, — rzekł Hassling, — że gdyby panna Borzobohata kazała Sakowiczowi, by księcia zdradził, a jej i towarzyszce ucieczkę ułatwił, myślę, że uczyniłby to bez wahania; ale, o ile wiem, woli to ona za plecami Sakowicza czynić, może na złość mu... kto wie... dość, że zwierzył mi się jeden oficer, rodak mój (tylko nie katolik), że tam już cały wyjazd pana miecznika z pan-

nami ułożony, oficerowie do spisku wciągnięci... że to ma wkrótce nastąpić...

Tu Hassling począł oddychać ciężko, bo się zmęczył i resztkami sił gonił.

— I to jest najważniejsza rzecz, jaką miałem waćpanom powiedzieć! — dodał pośpiesznie.

Wołodyjowski i Kmicic aż za głowy się porwali.

— Dokąd mają uciekać?

— Do puszcz, i puszczami się do Białowieży przebierać... Tcliu mi brak!...

Dalszą rozmowę przerwało wejście ordynansa sapieżyńskiego, który wręczył Wołodyjowskiemu i Kmicicowi po ćwiartce papieru złożonej we czworo. Ledwo rozwinął swoją Wołodyjowski, wnet ozwał się:

— Rozkaz, by już stanowiska do jutrzejszej roboty zajmować.

— Słyszycie, jak kartauny ryczą? — zawołał Zagłoba.

— No, jutro! jutro!

— Uf! gorąco! — rzekł pan Zagłoba. — Zły dzień do szturmu... Niech licho porwie, takie upały. Matko Boska... Niejeden przecie jutro mimo upału ostygnie, ale nie ci, nie ci, którzy się Tobie polecają, Patronko nasza... Ależ grzmią działa!... Za starym już do szturmów... otwarte pole co innego.

Wtem nowy oficer ukazał się we drzwiach.

— Jest-li tu jegomość pan Zagłoba? — spytał.

— Jestem!

— Z rozkazu króla miłościwego masz waćpan jutro zostawać przy jego osobie.

— Ha! chcą mnie od szturmu zachować, bo wiedzą, że stary pierwszy ruszy, niech jeno trąby zagrzmią. Dobry pan, pamiętny, nie chciałbym go zmartwić, — ale czy wytrzymam, nie wiem, bo jak mnie ochota zeprze, tedy o niczem nie pamiętam i prosto w dym walę... Taka już natura!... Dobry pan!... Słyszycie, już i trąbki przez munsztuk grają, by każdy na stanowisko ruszał. No! jutro! jutro... Będzie miał i święty Piotr robotę; już książki przygotowywać musi... W piekle także dla Szwedów kotły ze świeżą smołą na kąpiel nastawili... Uf! uf! jutro!...

## ROZDZIAŁ VIII.

Dnia pierwszego lipca, między Powązkami a osadą nazwaną później Marymontem, odbyła się wielka msza połowa, której dziesięć tysięcy ludzi wojsk kwarcianycli słuchało w skupieniu ducha. Król ślub uczynił, że w razie zwycięstwa, kościół Najświętszej Pannie wystawi. Ślubowali za jego przykładem, każdy wedle możności, dygnitarze, hetmani, rycerstwo, nawet prości żołnierze, gdyż ów dzień miał być dniem ostatecznego szturmu.

Po skończeniu mszy, ruszył każdy z wodzów

do swojej komendy. Więc pan Sapielia stanął naprzeciw kościoła Świętego Ducha, który wówczas za murami leżał, ale że był do nich kluczem, został zatem potężnie przez Szwedów umocnion i wojskiem należycie obsadzony. Pan Czarniecki miał Gdańskiego domu dobywać, tylna bowiem ściana tej budowli stanowiła część obwodowego muru, i przebiwszy go, można się było dostać do miasta. Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, z Wielkopolany i Mazurami od Krakowskiego i Wisły zmierzał. Kwarciane pułki tkwiły naprzeciw bramy Nowomiejskiej. Luda było tyle, że niemal więcej niżli przystępu do murów; cała płaszczyzna, wszystkie okoliczne podmiejskie wioski i błonia zalane zostały morzem ludzkiem, za którem bielały namioty, za namiotami wozy, aż hen! wzrok gubił się w ginem oddaleniu, nim krańca tego mrowiska sięgnąć zdołał.

Zastępy owe stały w zupełnej gotowości, z bronią podaną już naprzód i wysuniętą do biegu nogą, gotowe w każdej chwili rzucić się ku wyłomom, uczynionym przez działa wielkiego kalibru, a zwłaszcza przez ciężkie kartauny zamojskie. Działa nie ustawały grać ani na moment, szturm zaś zwłóczył się tylko dlatego, że czekano ostatecznej odpowiedzi Wittemberga na list, który kanclerz wielki Koryciński mu posłał. Lecz gdy koło południa przyjechał oficer z odpowiedzią odmowną,

zagrzmiały naokół miasta złowieszcze trąby i szturm się rozpoczął.

Wojskći koronne pod hetmanami, czarniecczykowie, pułki królewskie, piesze regimenty pana Zamojskiego, Litwini z pod Sapiehy i zastępy pospolitego ruszenia rzuciły się jak wezbrana fala ku marom. A z murów wykwitły ku nim smugi białego dymu i rzuty płomienia: wielkie działa, liakownice, organki, muszkiety, zagrzmiały naraz; ziemia wstrząsła się w posadach. Kule miesiły tę ciżbę ludzką, orały w niej brózdy długie, lecz ona biegła naprzód i darła się ku twierdzy, nie zważając na ogień i śmierć. Obłoki dymów prochowych słońce zakryły.

Uderzył tedy każdy zapamiętale tam, gdzie mu było najbliżej, więc hetmani od Nowomiejskiej bramy, Czarniecki na Gdański dom, pan Sapieha z Litwą na kościół Świętego Ducha, a Mazury i Wielkopolanie od Krakowskiego Przedmieścia i Wisły.

Tym zaś ostatnim wypadła najcięższa robota, wszystkie bowiem pałace i domy wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia zmienione były na twierdze. Lecz dnia tego ogarnęła Mazurów taka zaciekłość bojowa, że zapędowi ich nic się oprzeć nie mogło. Brali więc szturmem dom po domu, pałac po pałacu, bili się w oknach, we drzwiach, na schodach; wycinali w pień załogi.

Po zdobyciu jednego domostwa, nim krew

przyschła im na rękach i twarzach, już rzucali się na drugie — i znów rozpalała się ręczna bitwa, i znów biegli dalej. Towarzystwo szło na wyścigi z pospolitem ruszeniem, pospolite ruszenie z piechotę. Kazano im, by idąc do szturmu, nieśli przed sobą snopy niedojrzałego jeszcze zboża, które miały ich od kul zasłaniać, lecz oni w zapale i uniesieniu bojowem porzucali wszystkie zasłony, biegnąc z gołą piersią. Wśród krwawej bitwy wzięto kaplicę carów Szujskich i wspaniały pałac Koniecpolskich. Wygnieciono Szwedów co do jednego w pomniejszych budowlach, w magnackich stajniach, w ogrodach, schodzących ku Wiśle. Bliżej pałacu Kazanowskich piechota próbowała postawić czoło w ulicy, i posiłkowana z murów pałacu, z kościoła i dzwonnicy bernardyńskiej, zmienionych na potężną twierdzę, przyjęła rzęsistym ogniem napastników.

Lecz grad kul nie wstrzymał ich ani na chwilę i szlachta z okrzykiem: „Górą Mazury“ rzuciła się z szablami w środek czworoboku; za nimi wpadła piechota łanowa, czeladź zbrojna w drągi, oskardy, siekiery. Czworobok rozbito w mgnieniu oka i poczęto ciąć. Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się tak, że tworzyli jeden kłąb olbrzymi, który między pałacem Kazianowskich, domem Radziejowskiego a bramą Krakowską wił się, targał i przewalał we krwi własnej.

Lecz coraz nowe zastępy dyszących krwią wojowników napływały, niby spieniona rzeka, od strony Krakowskiego. Wycięto wreszcie w pień piechotę i rozpoczął się ów sławny szturm do pałacu Kazanowskich i jednocześnie do Bernardynów, który w znacznej części o losach bitwy rozstrzygnął.

Pan Zagłoba wziął w nim udział, mylił się bowiem dnia wczorajszego, sądząc, że król wzywa go do swej osoby jedynie dla asystencji. Przeciwnie bowiem: powierzono mu, jako wsławionemu i doświadczonemu wojownikowi, komendę mad czeladzią, która na ochotnika razem z kwartą i pospolitakami z tej strony miała do szturmu ruszyć. Cliciał był wprawdzie pan Zagłoba iść z nią w odwodzie i kontentować się zajmowaniem zdobytych już poprzednio pałaców, lecz gdy zaraz na początku wszyscy, idąc na prześcigi, pomieszali się ze sobą zupełnie, porwał i jego prąd ludzki. On zaś poszedł, bo jakkolwiek wielką wziął od natury w udziale przezorność i wołał, gdzie było można, żywota na szwank nie wystawiać, tak się już mimowoli od tylu lat wezwyczaił do bitew, w tylu okropnych był rzeziach, że gdy konieczność wypadła, stawał z innymi, a nawet lepiej od innych, bo z desperacją i wściekłością w mężnem sercu.

Tak i obecnie znalazł się pod bramą pałacu Kazanowskich, a raczej w piekle, które pod ową bramą wrzało straszliwie, zatem wśród

wiru, gorąca, tłoku, gradu kul, ognia, dymu, jęków ludzkich i krzyków. Tysiące siekier, oskardów, ratyszcz, waliło w bramę; tysiące ramion męskich parło i targało ją wściekle; jedni padali jakoby piorunami rażeni, drudzy pchali się na ich miejsce, deptali po ich trupach i dobijali się do wnętrza, jakby umyślnie szukając śmierci. Nikt nigdy nie widział i nie pamiętał uporczywszej obrony, ale i uporczywszego szturmowania. Z wyższych piętr nad bramą sypały się kule, lała się smoła, lecz ci, którzy byli pod ogniem, gdyby nawet byli chcieli, nie mogli ustąpić, tak popychano ich z zewnątrz. Widziałeś pojedynczych ludzi mokrych od potu, czarnych od prochu, ze ściśniętemi zębami i zdziczałenii oczyma, walących w bramę belkami tak wielkiemi, że w zwyczajnym czasie zaledwie trzech tęgich chłopów władnąćby niemi zdołało. Tak uniesienie troiło siły. Szturmowano jednocześnie do wszystkich okien, przystawiano drabiny do górnych piętr, wyrąbywano kraty w murach. A przecież z owych krat, z okien, z otworów wyciętych w ścianach sterczały rury muszkietów, które ani chwili nie przestawały dymić. Lecz takie wreszcie wzbiły się dymy, taka powstała kurzawa, że przy jasnym dniu słonecznym szturmujący zaledwie mogli się rozpoznać. Mimo to walki nie zaniechali, owszem, tern bardziej darli się na drabiny, tern zacieklej łupali bramę, że wrzaski od

kościoła Bernardynów zwiastowały, iż tam inne watahy szturmują z równą energją.

Wtem Zagłoba krzyknął głosem tak donośnym, że usłyszano go wśród zgiełku i wystrzałów :

—• Puszkę z prochem pod bramę!

Podano mu ją w mgnieniu oka, on zaś kazał zaraz rąbać wąską dziurę u samego spodu wrzeciądzów, tak wąską, aby tylko puszka w nią się zmieściła. Gdy weszła, pan Zagłoba sam nić siarkową zapalił, poczerń zakomenderował :

— Na boki! Pod ściany!

Stojący bliżej umknęli się na obie strony, ku tym, którzy drabiny przystawiali do dalszych okien, i nastała chwila oczekiwania.

Poczem łoskot ogromny wstrząsnął powietrzem i nowe kłęby dymu podniosły się ku górze. Skoczył pan Zagłoba napowrót ze swoimi ludźmi; spojrzą: wybuch nie rozniósł wprawdzie bramy w drobne szczątki, ale wyrwał zawiasę z prawej strony, odłupał parę potężnych bierwion już podrąbanych, skręcił antabę [1] i jedną połowę odepchnął w dolnej części w głąb sieni, tak, iż utworzyło się wejście, przez które tęgi nawet człowiek łatwo mógł się przecisnąć.

Wnet zaostrzone koły, topory i siekiery poczęły bić gwałtownie w nadwątloną wierzeję,

[1] klamrę, ułatwiającą pociągnięcie bramy ku sobie.

setki ramion podparły ją z wysileniem, dał się słyszeć trzask przeraźliwy — i cała jędrni połać runęła, odkrywając głąb ciemnej sieni.

W ciemności owej wnet błysły wystrzały muszkietów, lecz rzeka ludzka runęła wyłomem z niepohamowanym pędem — pałac był zdobyty.

Jednocześnie wdarto się i przez okna, i rozpoczęła się straszliwa bitwa na białą broń, wewnątrz pałacu. Zdobywano komnatę po komnacie, korytarz po korytarzu, piętro po piętrze. Mury były już poprzednio tak poroz-szczepiane i nadwątlone, że pułapy w kilku pokojach zapadły się z łoskotem, pokrywając gruzami Polaków i Szwedów. Lecz Mazury szli jak pożar, wnikali wszędzie, waląc ośnikami, siekąc, bodąc. Nikt ze Szwedów nie prosił pardonu, ale go też i nie dawano. W niektórych korytarzach i przejściach kupy ludzkie tak zawaliły drogę, że Szwedzi porobili z nich sobie barykady, napastnicy zaś wywłóczyli je za nogi, za włosy i wyrzucali przez okna. Krew płynęła strugami po schodach. Gromady Szwedów broniły się jeszcze tu i owdzie, odbijając mdlejącemi rękoma wściekłe razy szturmujących. Krew zalewała im twarze, oczy zachodziły ciemnością, niejeden osunął się już na kolana, a jeszcze walczył; parci ze wszystkich stron, duszeni przez tłum przeciwników, umierali w milczeniu Skandynawowie, zgodnie ze swą sławą, jak na żołnierzy

przystało. Kamienne figury bóstw i dawnych bohaterów, zbryzgane krwią, patrzyły martwi} źrenicą na tę śmierć.

Roch Kowalski szalał głównie na górze, pan Zagłoba zaś rzucił się ze swoim oddziałem na tarasy, i wysiekłszy broniących się tam piechurów, wpadł z tarasów do owych cudnych sadów, w całej Europie sławnych. Drzewa były już w nich wycięte, kosztowne krzewy poniszczone przez polskie kule, fontanny pogruchotane, ziemia poorana przez granaty, — słowem, wszędy pustka i zniszczenie, choć Szwedzi nie przykładali do niego swej drapieżnej ręki, przez wzgląd na osobę Radziejowskiego. Obecnie bój i tam zawrzał srogi, lecz trwał tylko chwilę, bo już słaby dawali opór Szwedzi. Toż wycięto ich pod osobistem pana Zagłoby dowództwem, zaczem żołnierze rozbiegli się po sadach i całym pałacu za zdobyczą.

A pan Zagłoba udał się aż na koniec sadu, w miejsce, gdzie mury tworzyły potężny „anguł“ i gdzie nie dochodziło słońce, cliciał bowiem rycerz odetchnąć nieco i z potu uznojone czoło obetrzeć. Nagle spojrzał i spostrzegł dziwaczne jakieś monstra, które na niego z za kraty żelaznej klatki złowrogo patrzyły.

Klatka była wszczepiona w kąt murów, tak, że kule, padające od zewnątrz, nie mogły jej dosięgnąć. Drzwi do niej szeroko były otwarte, lecz owe wychudłe i szkaradne istoty nie my-

śłały z tego korzystać; owszem, przerażone widocznie zgiełkiem, świstem kul i srogą rzezi;}, na którą przed chwilą patrzyły, zacisnęły się w kąt klatki, i poukrywane w słomę, jeno mruczeniem oznajmiały swój przestrach.

— Simiae t, czy djabły? — rzekł do siebie pan Zagłoba.

Nagle gniew go uchwycił, męstwo wezbrało mu w piersi, i podniósłszy szablę, wpadł do klatki.

Popłoch okropny odpowiedział pierwszemu ciosowi jego miecza. Małpy, z któremi żołnierze szwedzcy dobrze się obchodzili i które ze swych szczupłych racyj karmili, bo ich bawiły, wpadły w tak okropne przerażenie, że je szał ogarnął poprostu, a ponieważ pan Zagłoba zastąpił im ode drzwi, poczęły w susach nadprzyrodzonych rzucać się po klatce, czepiać się ścian, pułapu, wrzeszczeć, zgrzytać, nakoniec jedna skoczyła w obłędzie panu Zagłobie na kark i chwyciwszy go za głowę, przywarła doń z całej siły. Druga przyczepiła mu się do prawego ramienia, trzecia od przodu chwyciła za szyję, czwarta uwiesiła się u zawiązanych ztyłu wylotów, — on zaś przyduszon, spocony, próżno, się miotał, próżno wtył dawał ślepe razy, samemu wkrótce zabrakło oddechu, oczy mu nawierzch wyszły i rozpaczliwym głosem krzyczeć począł:

---

[1] małpy.

— Mości panowie! ratujcie!

Wrzaski zwabiły kilkunastu towarzystwa, którzy nie mogąc rozeznać, co się dzieje, biegli w pomoc z dymiącemi od krwi szablami, lecz nagle stanęli w zdumieniu, spojrzeli po sobie, i jakby pod wpływem czarów ryknęli jednym ogromnym śmiechem. Nadbiegło więcej żołnierzy, tłum cały, lecz śmiech, jak zaraza, udzielił się wszystkim. Więc taczali się jak pijani, brali się w boki[1], zamazane posoką ludzką twarze krzywiły im się spazmatycznie, i im bardziej rzucał się pan Zagłoba, tem oni śmieli się więcej. Dopiero Roch Kowalski nadbiegł z góry, i roztrąciwszy tłumy, uwolnił wuja z małpich uścisków.

— Szelmy! — krzyknął zdyszany pan Zagłoba — bodaj was zabito! To śmiejecie się, widząc katolika w opresji od monstrów afrykańskich? Bodaj was zabito! Żeby nie ja, tobyście dotychczas trykali łbami o bramę, boście czego lepszego nie warci! Bodaj was zabito, żeście i onych małp nie godni!

— Bodaj ciebie zabito, małpi królu! — zakrzyknął najbliżej stojący towarzysz.

— Simiarum destructor! [1] — zawołał drugi.

— Victor! — dodał trzeci.

— Gdzie tam viator, chyba victus! [2]

Tu Roch przyszedł znowu z pomocą wu-

---

[1] pogromca małp. - zwyciężony.

jowi i najbliższego pięścią w pierś uderzył, a ten zaraz padł, krew ustami oddawszy. Inni cofnęli się przed gniewem męża, niektórzy do szabel się brali, lecz dalszej kłótni zapobiegły wrzaski i strzały dochodzące ze strony bernardyńskiego klasztoru. Widocznie szturm trwał tam jeszcze w całej sile i, sądząc z gorączkowej palby muszkietowej, Szwedzi nie myśleli się poddawać.

— W sukurs! pod kościół! pod kościół! — krzyknął Zagłoba.

Sam zaś skoczył do pałacu na górę, tam bowiem z prawego skrzydła widać było kościół, który zdawał się gorzeć w ogniu. Tłumy szturmujących wiły się pod nim konwulsyjnie, nie mogąc dostać się do środka i ginąc bezużytecznie w krzyżowym ogniu, bo i od bramy Krakowskiej sypały się na nich kule, jak piasek.

— Działa do okien! — krzyknął Zagłoba.

Działek większych i mniejszych było w pałacu Kazanowskich dosyć, wnet też przywleczono je do okien; ze złamów kosztownych sprzętów, z podstaw posągów pourządzano lawety — i po upływie pół godziny, kilkanaście paszcz wyjrzało przez puste otwory okien ku kościołowi.

— Rochu! — mówił w nadzwyczajnem rozdrażnieniu pan Zagłoba — muszę czegoś znacznego dokazać, bo inaczej przepadła moja sława! Przez te małpy — żeby je zaraza wy-

dusiła! — całe wojsko na języki mnie weźmie, a clioć i mnie słów w gębie nie brak, przecie wszystkim nie poradzę. Muszę tę konfuzję zatrzeć, inaczej, jak Rzeczpospolita szeroka, za małpiego króla mnie ogłoszą!

— Wuj musi tę konfuzję zatrzeć! — powtórzył grzmiącym głosem Roch.

— A pierwszy sposób będzie, iż — jakom pałac Kazanowskich zdobył... bo niech kto powie, że to nie ja!...

—- Niecli kto powie, że to nie wuj!... — powtórzył Roch.

— Tak i ów kościół zdobędę, tak mi Panie Boże dopomóż, amen! — dokończył Zagłoba.

Poczem odwrócił się do swej czeladzi, która już stała przy armatach.

— Ognia!

Szwedów, broniących się z rozpaczą w kościele, strach zdjął, gdy nagle cała boczna ściana trząść się zaczęła. Na tych, którzy siedzieli w oknach, przy strzelnicach powycinanych w murze, na załamach wewnętrznych gzymsów, przy gołębich otworach, przez które strzelali do oblęgających, jęły się sypać cegły, gruz, wapno. Straszliwa kurzawa powstała w domu Bożym i , pomieszana z dymem, jęła dławić spracowanych ludzi. Człek człeka nie mógł dojrzeć w ciemności, okrzyki: „Dusim się! dusim się!“ powiększyły jeszcze przerażenie. A tu kościół chwieje się, trzask muru, spadanie cegieł, łoskot kul wpadających przez

okna, dźwięk ołowianych krat, lecących na podłogę, żar, wyziewy ludzkie, zmieniają przybytek Boży w piekło ziemskie. Przerażeni żołnierze odbiegają bramy, okien, strzelnic. Popłoch zmienia się w szał. Znów przeraźliwe głosy wołają: „Dusim się! powietrza! wody!“ — Nagle setki gardzieli poczynają ryczeć:

— Białą chorągiew! białą chorągiew!

Komenderujący, Erskin, chwyta za nią własną ręką, aby ją wywiesić na zewnątrz, wtem brama pęka, lawa szturmujących wpada nakształt ławicy szatanów — i nastaje rzeź. Cisza nagle czyni się w kościele, słychać tylko zwierzęce sapanie walczących, zgrzyt żelaza o kości, o kamienną posadzkę, jęki, chlupotanie krwi, — czasem głos jakiś, w którym niemasz nic ludzkiego, krzyknie: „Pardon! pardon!“ Po godzinie walki dzwon na dzwonnicy poczyna huczeć, i huczy, huczy — Mazurom na zwycięstwo, Szwedom na pogrobne.

Pałac Kazanowskich, klasztor i dzwonnica zdobyte. Sam Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, ukazuje się wśród krwawych tłumów przed pałacem na koniu.

— Kto nam przyszedł w sukurs z pałacu?— krzyczy, chcąc przekrzyczeć gwar i wycie ludzkie.

— Ten, który pałac zdobył! — mówi potężny mąż, ukazując się nagle przed wojewodą, — ja!!!

— Jak waści zowią?

— Zagłoba.

— Vivat Zagłoba! — ryczą tysiące gardzieli.

Lecz straszliwy Zagłoba ukazuje krzywcem[1] zabrukanej szabli na bramę.

— Nie dosyć na tem! — woła — tam! do bramy! Działa ku murom i na bramę, a my naprzód! za mną!

Rozszalałe tłumy rzucają się w kierunku bramy, wtem — o cudo! — ogień szwedzki, zamiast się wzmagać, słabnie.

Jednocześnie głos jakiś donośny rozlega się niespodzianie z wierzchołka dzwonnicy:

— Pan Czarniecki już w mieście! Widzę nasze chorągwie!!

Ogień szwedzki słabnie coraz bardziej.

— Stój ! stój ! — komenderuje wojewoda.

Lecz tłumy go nie słyszą i biegną naoślep.

Wtem biała chorągiew ukazuje się na bramie Krakowskiej.

Istotnie, Czarniecki, przebiwszy dom Gdański, wpadł nakształt huraganu do obrębu fortecy, a gdy pałac Daniłłowiczowski już był także zdobyty, gdy w chwilę później i litewskie znaki zabłysły od strony Świętego Ducha na murach, uznał Wittemberg, że dalszy opór daremny. Mogli wprawdzie Szwedzi bronić się jeszcze w wyniosłych domach Starego i Nowego Miasta, lecz i mieszczanie chwycili już za broń: obrona musiałaby się skończyć na

[1] zakrzywionym końcem.

straszliwej rzezi Szwedów, bez nadziei zwycięstwa.

Trębacze poczęli tedy trąbić na murach i wiewać białemi chorągwiami. Widząc to komendanci polscy, wstrzymali szturm, poczem jenerał Loewenhaupt, w otoczeniu kilku pułkowników, wyjechał bramą Nowomiejską i popędził, co tchu, do króla.

Jan Kazimierz miał już miasto w ręku, lecz dobry pan pragnął wstrzymać rozlew krwi chrześcijańskiej, więc przystał na podawane poprzednio WitŁembergowi warunki. Miasto miało być oddane ze wszystkiemi nagromadzonemi w niem łupami. Każdemu Szwedowi pozwolono było zabrać to tylko, co ze Szwecji ze sobą przywiózł. Załoga ze wszystkimi jenerałami i z bronią w ręku miała prawo wyjść z miasta, zabrawszy chorych i rannych, oraz damy szwedzkie, których kilkadziesiąt było w Warszawie. Polakom, którzy przy Szwedach jeszcze służyli, udzielono amnestji, ze względu, że zapewne nie było już wysługujących się dobrowolnie. Wyłączon został jeden Bogusław Radziwiłł, na co Wittemberg zgodził się tern łatwiej, iż książę stał w tej chwili z Duglasem u Buga.

Warunki podpisano natychmiast. Wszystkie dzwony w kościołach poczęły głosić miastu i światu, że stolica przechodzi znów do rąk prawego monarchy. W godzinę później wysypało się mnóstwo co najbiedniejszego ludu

z za wałów szukać miłosierdzia i chleba w polskich obozach, wszystkim już bowiem, prócz Szwedów, brakło w mieście żywności. Król kazał dawać, co było można, sam zaś odjechał patrzeć na wyjście załogi szwedzkiej.

Stanął więc otoczony dostojnikami duchownymi i świeckimi, w asystencji tak wspaniałej, iż oczy ludzkie ćmiła. Wszystkie niemal wojska, więc koronne pod hetmanami, dywizja Czarnieckiego, litewskie pod Sapiehą i niezmierne tłumy pospolitego ruszenia, wraz z czeladzią, zebrały się obok majestatu, bo wszyscy ciekawi byli widzieć tych Szwedów, z którymi przed kilku godzinami tak straszliwie i krwawo walczyli. Przy wszystkich bramach, od chwili podpisania ugody, stali komisarze polscy; powierzono im zbadanie, czy Szwedzi jakowych łupów nie wywożą. Osobna komisja zajęta była przejmowaniem łupów w samem mieście.

Ukazała się więc naprzód jazda, której było niewiele, zwłaszcza, że wyłączono od prawa wyjścia jazdę Bogusławową; za nią szła artylerja połowa z lekkiemi działami, ciężkie bowiem miały być wydane Polakom. Szli tedy żołnierze obok dział z zapalonemi lontami. Nad nimi chwiały się rozwinięte chorągwie, które przed królem polskim, niedawno tułaczem, na znak czci zniżano. Artylerzyści postępowali hardo, patrząc wprost w oczy polskiemu rycerstwu, jakgdyby chcieli mówić:

„Spotkamy się jeszcze!“ — a Polacy podziwiali ich butną postawę i nieugięty nieszczęściem animusz. Zaczem ukazały się wozy z oficerami i rannymi. W naczelnym leżał Benedykt Oxenstierna, kanclerz, przed którym król kazał broń prezentować piechocie, chcąc okazać, że nawet w nieprzyjacielu cnotę uszanować umie.

Potem, przy odgłosie bębnów i także z rozpuszczonemi chorągwiami, szły czworoboki nieporównanej piechoty szwedzkiej, podobne, wedle wyrażenia Supanhazego, do chodzących zamków. Za niemi ukazał się świetny orszak rajtarji, przybranej w blachy od stóp do głowy, z błękitną chorągwią, na której złoty lew był wyszyty. Rajtarowie ci otaczali sztab główny. Na ich widok poszedł szmer przez tłumy:

— Wittemberg jedzie! Wittemberg!

Jakoż jechał sam feldmarszałek, a przy nim Wrangel młodszy, Horn, Erskin, Loewenhaupt, Forgell. Oczy polskich rycerzy zwróciły się z chciwością w ich stronę, a zwłaszcza na twarz Wittemberga. Lecz oblicze jego nie zwiastowało tak straszliwego wojownika, jakim był w samej istocie. Była to twarz stara, blada, wyniszczona przez chorobę. Rysy miał ostre, nad ustami nosił rzadki i mały wąs, zadarty w końcach ku górze. Zaciśnięte usta i śpiczasty, długi nos, nadawały mu pozór starego i drapieżnego skąpca. Przybrany w czar-

ny aksamit i w czarny kapelusz na głowie, wyglądał raczej na uczonego astrologa łub na medyka, i tylko złoty łańcuch na szyi, oraz brylantowa gwiazda na piersiach i buława feldmarszałkowska w ręku zdradzały jego wysoką hetmańską szarżę.

Jadąc, rzucał niespokojnie oczyma na króla, na sztab królewski, na stojące w szyku chorągwie, poczem wzrok jego ogarniał niezmierne tłumy pospolitego ruszenia — i ironiczny uśmiech ukazywał mu się na bladych wargach.

A w tych tłumach szmer rosnął coraz bardziej i słowo: „Wittemberg! Wittemberg!“ — było na wszystkich ustach.

Po chwili szmer zmienił się w pomruk głuchy, ale groźny, jak pomruk morza przed burzą. Od chwili do chwili cichł; a wówczas hen! w dali, w ostatnich szeregach, słychać było jakiś głos perorujący. Temu głosowi odpowiadały inne, odpowiadało ich coraz więcej, rozlegały się coraz silniej, rozbiegały się coraz szerzej, jakby jakieś echa złowrogie. Przysiągłbyś, że burza idzie z oddali, że wybuchnie z całą siłą.

Dostojnicy stropili się i poczęli niespokojnie spoglądać na króla.

— Co to jest? co to znaczy? — pytał Jan Kazimierz.

Wtem pomruk przeszedł w huk tak straszny, jakby grzmoty poczęły w niebie walczyć ze

sobą. Niezmierne tłumy pospolitego ruszenia poruszyły się gwałtownie, zupełnie jak łan zboża, gdy huragan zawadzi o niego swem olbrzymi em skrzydłem. Nagle kilkadziesiąt tysięcy szabel zabłysło w słońcu.

— Co to jest? co to znaczy? — sipytał powtórnie król.

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

Wtem Wołodyjowski, stojący w pobliżu przy panu Sapieże, zakrzyknął:

— To pan Zagłoba!

Wołodyjowski odgadł. Jak tylko bowiem warunki kapitulacji zostały ogłoszone i doszły do uszu pana Zagłoby, stary szlachcic wpadł w gniew tak straszny, że mowa była mu przez jakiś czas odjętą. Przyszedłszy do siebie, zaczął od tego, iż skoczył między szeregi pospolitego ruszenia i począł burzyć umysły. Słuchano go chętnie, bo wszystkim się zdało, że za tyle męstwa, za tyle trudów, za tyle krwi wylanej pod murami Warszawy, lepszą powinni mieć nad nieprzyjacielem zemstę. Otaczały więc Zagłobę potężne koła niesfornej i burzliwej szlachty, a on całemi garściami rzucał rozżarzone węgle na prochy i wymową rozdmuchiwał coraz większy pożar, który tern łatwiej ogarniał głowy, że już i tak dymiły od zwykłych po zwycięstwie libacyj [L].

---

[1] pijatyk.

— Mości panowie! — mówił Zagłoba. — Oto te stare ręce pięćdziesiąt lat już pracują dla ojczyzny, pięćdziesiąt lat przelewały krew nieprzyjacielską przy wszystkich ścianach Rzeczypospolitej, teraz zasię — mam świadków! — one to pałac Kazanowskich i kościół bernardyński zdobyły! A kiedy, mości panowie, Szwedzi stracili otuchę, kiedy na kapitulację się zgodzili? — oto wówczas, gdyśmy armaty od Bernardynów na Stare Miasto wyrychtowali. Nie żałowano tu naszej krwi, bracia, hojnie nią szafowano, a pożałowano tylko samego nieprzyjaciela. To my, bracia, substancję zostawiamy bez gospodarza, czeladź bez pana, żonę bez męża, dziatki bez ojca... — (o moje dziatki, co się z wami teraz dzieje!) — i przychodzimy tu z gołą piersią na armaty, a jakaż nam za to nagroda? Oto taka: Wittemherg wolny odchodzi, i jeszcze go honorują na drogę. Odchodzi kat naszej ojczyzny, odchodzi bluźniciel przeciw wierze, Najświętszej Panny wróg zaciekły, podpalacz naszych domów, zdzierca naszych szat ostatnich, morderca żon i dziatek naszych! — (o moje dziatki, gdzie wy teraz!) — hańbicie! duchowieństwa i panienek Bogu poświęconych... Biada tobie, ojczyzno! hańba tobie, szlachto! paroksyzm tobie nov, y, wiaro nasza święta! biada wam, kościoły utrapione, płacz tobie i narzekanie, Częstochowo! — bo Wittemberg odchodzi wolno i wróci wkrótce łzy i krew wy-

ciskać, dobijać, których nie dobił, palić, czego jeszcze nie spalił, hańbić, czego jeszcze nie zhańbił. Płacz Korono i Litwo, płaczcie wszystkie stany, jako ja płaczę, stary żołnierz, który do grobu zstępując, na paroksyzm wasz patrzeć musi... Biada tobie, Iljum i, miasto starego Priama! [2] Biada! biada! biada!

Tak to prawił pan Zagłoba, a tysiące słuchały go i gniew podnosił szlachcie włos na czuprynach, — on zaś jechał dalej i znów biadał i szaty darł na sobie i piersi odkrywał. Wnikał też i w wojsko, które także chętnie skargom jego uclio podawało, istotnie bowiem straszliwa była przeciw Wittembergowi we wszystkich sercach zawziętość. Tumult byłby wybuchł odrazu, ale powstrzymał go sam Zagłoba, z obawy, że gdy za wcześnie wybuchnie, wówczas Wittemberg może się jeszcze jakoś wyratować, — a jeśli wybuchnie wówczas, gdy będzie wyjeżdżał z miasta i na oczy się pospolitemu ruszeniu pokaże, to go na szablach rozniosą, zanim się kto opatrzy, co się dzieje.

I wyrachowania jego sprawdziły się zupełnie. Na widok okrutnika szał ogarnął mózgi niesfornej a podpiłej szlachty i w mgnieniu oka burza wybuchła straszliwa. Czterdzieści tysięcy szabel zabłysło w słońcu, czterdzieści tysięcy gardzieli poczęło ryczeć: „Śmierć Wittemhergowi!“ — „Dawajcie go sam!“ — „Bi-

[1] Trojo. [2] króla trojańskiego.

gosować! bigosować!“ — Do tłumów szlacheckich przyłączyły się tłumy niesforniejszej jeszcze, a rozbestwionej niedawnym przelewem krwi czeladzi, nawet karniejsze regularne chorągwie jęły szemrać groźnie przeciw ciemięzcy — i burza poczęła lecieć z wściekłością na sztab szwedzki.

W pierwszej chwili stracili wszyscy głowę, choć wszyscy odrazu zrozumieli, o co idzie. „Co czynić?“—ozwały się głosy przy królu.— „Jezu miłosierny!“ — „Ratować! osłaniać!“ — „Hańba nie dotrzymać umowy!“

Wtem tłumy rozżarte wpadają między chorągwie, cisną je, — chorągwie mieszają się, nie mogąc ustać na miejscu. Naokół widać szable, szable i szable, pod niemi rozpalone twarze, wytrzeszczone oczy, wyjące usta; zgiełk, szum i dzikie okrzyki rosną z przerażającą szybkością, na czele leci czeladź, ciury i wszelka wojskowa hołota, podobniejsza do zwierząt lub djabłów, niż do ludzi.

Zrozumiał i Wittemberg, co się dzieje. Twarz mu pobladła jak płótno, pot obfity a zimny zrosił mu w jednej chwili czoło i — o dziwo! — ów feldmarszałek, który przedtem światu całemu gotów był przegrażać, ów pogromca tylu armij, zdobywca tylu miast, ów stary żołnierz, zląkł się teraz tak okropnie wyjącej tłuszczy, iż przytomność opuściła go zupełnie. I począł dygotać całem ciałem, i ręce opuścił, i jęczał, i ślina poczęła mu ciec z ust

na złoty łańcuch, a buława marszałkowska z ręki wypadła. Tymczasem straszliwa ciżba była coraz bliżej i bliżej; już, już, okropne postacie otaczały nieszczęsnych jenerałów naokół, — chwila jeszcze, a rozniosą tak wszystkich na szablach, że jednego szczątka nie zostanie.

Inni jenerałowie powydobywali szpady, chcąc umrzeć z bronią w ręku, jak na rycerzy przystało, lecz stary ciemięzca zesłabł zupełnie i przymrużył oczy.

Wtem pan Wołodyjowski skoczył sztabowi na ratunek. Chorągiew, idąc wskok klinem, roztrąciła tak tłuszczę, jak okręt płynący wszystkiemi żaglami roztrąca spiętrzone fale morza. Krzyk tratowanej hołoty pomieszał się z krzykiem laudańskich, lecz jeźdźcy pierwej dopadli sztabu i otoczyli go w mgnieniu oka murem koni, murem piersi własnych i szabel.

— Do króla! — krzyknął mały rycerz.

I ruszyli. Tłum otoczył ich ze wszystkich stron, biegł z boków, ztyłu, wywijał szablami i drągami, wył coraz straszniej, lecz oni parli naprzód, tnąc szablami od czasu do czasu na boki, jak tnie potężny odyniec, otoczony przez stado wilków.

Wtem Wojniłłowicz skoczył w pomoc Wołodyjowskiemu, za nim Wilczkowski z królewskim pułkiem, za nim kniaź Połubiński — i wszyscy razem, oganiając się ustawicznie,

przyprowadzili sztab przed oblicze Jana Kazimierza.

Tumult, zamiast zmniejszać się, rósł coraz bardziej. Zdawało się przez chwilę, że rozhukana tłuszcza, bez względu na majestat, będzie chciała dostać w ręce jenerałów. Wittemberg oprzytomniał, ale strach nie opuścił go bynajmniej, więc zeskoczył z konia, i jak zając napierany przez psy lub wilki chroni się -aż pod wozy zaprzężne, tak on kopnął się, mimo podagry, aż pod nogi królewskie.

Tam rzucił się na kolana, i chwyciwszy za strzemię, począł krzyczeć:

— Ratuj, miłościwy -panie! ratuj! Mam twoje słowo królewskie, ugoda podpisana, ratuj, ratuj! Zmiłuj się nad nami! Nie pozwalaj mnie zamordować!

Król na widok takiego upokorzenia i takiej hańby odwrócił ze wstrętem oczy i rzekł:

— Panie feldmarszałku, uspokój się pan!

Lecz sam miał twarz strapioną, bo nie wiedział, co czynić. Naokół zbierały się coraz większe tłumy, i zbliżały się coraz natarczywiej. Wprawdzie stanęły chorągwie jakby do boju, a piechota zamojska utworzyła naokół groźny czworobok, lecz jaki miał być wszystkiego koniec?

Król spojrzał na Czarnieckiego, lecz ten tylko brodę kręcił z wściekłością, takim gniewem wzburzyła mu się dusza przeciw niekarności pospolitego ruszenia.

Tymczasem kanclerz Koryciński rzeki:

— Miłościwy panie, trzeba ugody dotrzymać.

— Tak jest! — rzeki król.

Wittemberg, który pilno patrzył im w oczy, odetchnął swobodniej.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał — wierzyłem w twoje słowo, jak w Boga!

A na to stary hetman koronny, pan Potocki:

— A czemuś to waść tyle przysiąg, tyle ugód i kapitulacyj łamał? Kto czem wojuje, od tego ginie... Wszakżeś to Wolfa, pułk królewski, wbrew kapitulacji zagarnął?

— To nie ja, to Müller, to Müller! — odrzekł Wittemberg.

Hetman spojrzał z pogardą, zaczem odwrócił się do króla:

— Miłościwy panie! Nie mówię tego, abym waszą królewską mość miał do złamania także ugody pobudzać, bo niechże wiarołomstwo po ich jeno stronie będzie.

— Więc co czynić? — spytał król.

— Jeśli go teraz do Prus odeślem, to z pięćdziesiąt tysięcy szlachty ruszy za nim, i nim do Pułtuska dojedzie, już go rozsiekają... Chybaby mu cały komput wojska za Stróżę dodać, a tego uczynić nie możem... Słyszysz, wasza królewska mość, jako tam wyją. Re vera... [1] słuszna jest przeciw niemu zawziętość... Trzeba

[1] w samej rzeczy, istotnie (od tego ulubionego wyrażenia nazywano hetmana: Rewera Potocki).

naprzód jego osobę ubezpieczyć, a odesłać wszystkich wówczas, gdy ten ogień ugaśnie.

— Nie może inaczej być! — rzekł kanclerz Koryemski.

— Ale gdzie go .ubezpieczyć? Tu go trzymać nie możem, bo tu, u licha, wojna domowa wybuchnąć gotowa — ozwał się pan wojewoda ruski.

Na to wystąpił pan starosta kałuski, Sobiepan, i wydymając mocno wargi, rzekł ze zwykłą sobie fantazją:

— A, cóż?! miłościwy panie! Dajcie mi ich do Zamościa, niech posiedzą, póki się spokój nie uczyni. Już ja go tam przed szlachtą obronię... Ba! niech mi spróbują go wydrzeć! Ba!

— Ale w drodze, jak go wasza dostojność obronisz? — spytał kanclerz.

— Ha! jeszcze mnie na pachołków stać. Albo to nie mam piechoty i dział, co? Niech go Zamojskiemu wydrą! Obaczym!

Tu zaczął się w boki brać, po udach klepać i na kulbace na obie strony się przechylać.

— Niema innej rady! — rzekł kanclerz.

— I ja nie widzę! — dodał pan Lanckoroński.

— To ich i weźcie, panie starosto! — rzekł do Zamojskiego król.

Lecz Wittemberg, widząc, że już życiu jego nic nie grozi, uznał za stosowne protestować.

— Nie tegośmy się spodziewali! — rzekł.

Na to pan Potocki, ukazując w dal ręką:

— A to proszę, nie zatrzymujem, wolna droga!

Wittemberg umilkł.

Tymczasem kanclerz rozesłał kilkudziesięciu oficerów, aby głosili wzburzonej szlachcie, że Wittemberg nie odejdzie wolno, ale zostanie odesłany do Zamościa. Tumult nie zaraz wprawdzie się uciszył, jednakże wieść podziałała uspokajająco. Nim wieczór zapadł, umysły zwróciły się w inną stronę. Wojska poczęły wchodzić do miasta i widok odzyskanej stolicy napełnił wszystkie dusze radością triumfu.

Radował się i król, jednakże myśl, że nie mógł w zupełności dotrzymać warunków ugody, trapiła go niepomału, zarówno jak wieczna niekarność pospolitego ruszenia.

Czarniecki żuł w sobie gniew.

— Z takiem wojskiem nigdy nie można być jutra pewnym — mówił do króla. — Czasem bije się źle, czasem po bohatersku, wszystko od fantazji, a lada podmuch, to i bunt gotowy.

— Daj Boże, by się nie zaczęli rozjeżdżać, — rzekł król, — bo jeszcze potrzebni, a już myślą, że wszystkiego dokonali.

— Sprawca tego rozruchu powinien być końmi rozerwali, bez względu na usługi, jakie oddał! — mówił dalej Czarniecki.

Kazano też najsurowiej szukać pana Za-

globy, bo nikomu nie było tajno, że on to podniósł burzę, lecz pan Zagłoba jak w wodę wpadł. Szukano go w mieście, w namiotach, między taborem, nawet między Tatarami, wszystko napróżno. Powiadał przytem Tyzenhauz, że król, jak zawsze dobry i miłościw, życzył sobie z całej duszy, żeby go nie znaleziono, i że nawet nowennę nato odprawiał.

W tydzień zaś później, po jakowymś obiedzie, gdy monarsze serce wezbrało radością, usłyszano z ust Jana Kazimierza słowa następujące:

— A rozgłoście tam, żeby się pan Zagłoba dłużej nie chował, bo już nam po nim i jego krotochwilacli tęskno!

Gdy kasztelan kijowski żachnął się na to, król dodał:

— Ktoby w tej Rzeczypospolitej jeno sprawiedliwość, nie miłosierdzie miał w sercu, tenby, zamiast serca, topór w piersiach nosić rnusiał. O winę tu łatwiej, niż gdzieindziej, ale też i poprawa nigdzie tak rychło nie następuje!

A mówiąc to, miał więcej jeszcze Babinicza na myśli, niż Zagłobę, zaś o Babiniczu myślał dlatego, że młody junak właśnie poprzedniego dnia pokłonił się do nóg królewskich z prośbą, by mu na Litwę nie było wzbroniono jechać. Mówił, że clice tam wojnę ożywić i Szwedów podchodzić, jak niegdyś Chowańskiego podchodził. A ponieważ król i tak miał za-

miar posłać tam doświadczonego w podjazdowej wojnie żołnierza, więc pozwolił, opatrzył, pobłogosławił, i jeszcze mu czegoś tam pocichu do ucha życzył, po którem życzeniu padł mu młody rycerz do nóg, jak długi.

Poczem, nie zwłócząc, ruszył raźno na wschód. Supanhazy, znacznym podarkiem ujęty, pozwolił mu nowych pięciuset dobrudzkich ordyńców z sobą zabrać, szło więc za nim półtora tysiąca ludzi dobrych, — siła, z którą można było przecie coś począć. I paliła się głowa junacka chęcią bojów i wojennych czynów, śmiała mu się nadzieja sławy; słyszał już jak cała Litwa wymawia z chlubą i podziwem jego imię... Słyszał zwłaszcza, jak powtarzają je jedne kochane usta, i dusza dostawała mu skrzydeł.

A jeszcze i dlatego tak mu się jechało raźno, że gdzie przyjechał, tam pierwszy szczęsną wieść zwiastował, iż Szwed pobit i Warszawa wzięta. Warszawa wzięta! Gdzie zatętniły kopyta jego konia, tam całe okolice rozbrzmiewały temi słowami, tam lud witał go z płaczem na drogach, tam bito we dzwony po kościołach i śpiewano „Te Deum laudamus!“ Gdy jechał lasem, to sosny ciemne, gdy polami, to łany zbóż złocistych, wiatrem kołysane, zdawały się powtarzać, szumiąc radośnie:

— Szwed pobit! Warszawa wzięta! Warszawa wzięta!

DRUKARNIA OSSOLINEUM
LWÓW